POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Nr 81 (2592)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

Piątek–niedziela, 9–11.10.2026

www.i.pl

MAGAZYN

Uczniowie z nożem w rękach

Dwa dni, trzy ataki, jeden udaremniony. Dlaczego trzej nastolatkowie chcieli zabijać w szkołach?

– Str. 2, 6-7



DLACZEGO DONALD TRUMP TAK PRAGNIE POKOJOWEGO NOBLA?

– Str. 10-11

GRZYBFLUENCERZY, CZYLI ABSOLUTNE JESIENNE I LEŚNE SZALEŃSTWO

– Str. 20-21

TELEMAGAZYN

● „Wykidajło”. Były zawodnik mieszanych sztuk walki powraca. Teraz staje naprzeciwko groźnej mafii

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

BT

9 771898 308059 41

eprasa.pl 35b7964dc6

Na okładce



BT

Dwa dni: dwa ataki nożowników w szkole. Nastolatkowie ruszyli na swoich kolegów, nauczycieli, pracowników placówek. Do tego jedno zatrzymanie ucznia, który „planował zrobić coś złego”

s.8

Borys Budka: Kaczyński jest w stanie stworzyć ząd z każdym, byleby tylko dorwać się do władzy

s.10

Nagrody Nobla. Stały punkt odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie. Ale dlaczego jej tak pragną?

s.14

Sława najlepszej poetki na świecie, a przy okazji 1,2 mln dolarów, powędrują w tym roku do 76-letniej kanadyjskiej poetki, tłumaczki i wykładowczyni, Anny Patrycji Carson

s.16

Nasi żołnierze będą mieli nowe mundury z nowym kamuflażem, słabo widoczne w noktowizji

s.20

Zasięgi grzybfluencerów, którzy generują wyświetlenia na poziomie gwiazd popkultury czy sportu

WARSZAWA STR. 30
SPORT STR. 31

FOT. AUTOR



Borys Budka
Poseł Koalicji Obywatelskiej, były minister sprawiedliwości w rządzie Ewy Kopacz, były przewodniczący KO.



Kamuflaż KO3 „Ryś”
ma zapewnić lepsze właściwości maskujące zarówno w dzień, jak i w nocy oraz zwiększyć bezpieczeństwo żołnierzy.

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Dziki świat mediów społecznościowych

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

9.10.2026. Dzień dobry

A co, jeśli przyczyn szukamy nie tam, gdzie trzeba?

Cała Polska jest w szoku od środy, od pierwszego ataku nożownika w szkole, w nie za dużym miasteczku, jakim jest Ostrołęka. Ale wydarzenia czwartkowe były jeszcze bardziej szokujące. 15-latek zabił nożem pracownicę szkoły. A gdyby nie bohaterska – nie bójmy się wielkich słów – postawa dyrektora szkoły i nauczycielki, którym udało się obezwładnić nastolatka, nie wiadomo, do czego by jeszcze doszło.

No i trzeci przypadek, gdzie tragedii udało się uniknąć, bo nastolatki nie obawiały się pójść do dorosłych i powiedzieć, że z innym chłopakiem dzieje się coś złego.

Media pełne są ekspertów, którzy mówią o mowie nienawiści, o hejcie w internecie. Inni przypuszczają, że może chodzi o wyzwanie, internetowy challenge, który sprawił, że aż trzech nastolatków (15-, 17- i 19-letni) postanowiło się uzbroić i zaatakować swoich kolegów i nauczycieli na terenie szkoły. Jeszcze inni przypuszczają, że ta bezprecedensowa agresja może być wynikiem ideologii pełnych nienawiści do świata, co może pchnąć młody umysł do niewyobrażalnych czynów.

Kolejni podnoszą, że to tzw. copycat crime albo „efekt Wertera”, kiedy to narasta fala samobójstw po tym, jak życie odbierze sobie jakiś celebryta.

Ale trop może być zupełnie inny. Na razie nie mówią o tym śledczy ani przedstawiciele rządu. Nie wiem, czy taki wariant, taka przyczyna jest w ogóle rozpatrywana.

Ale trzy różne ataki agresji z nożem w ręku, na dodatek wszystkie na Mazowszu, w spokojnych małych miasteczkach, budzą we mnie ogromne podejrzenia i nie pozwalają uwierzyć, że to przypadek.

Może dlatego, że pierwsze skojarzenie, jakie przyszło mi do głowy, dotyczy tzw. jednorazek, jednorazówek. To termin, jakim posługują się eksperci śledzący sposoby działania Federacji Rosyjskiej.

Przykład pierwszy. Kilka miesięcy temu na terenie Ukrainy doszło do kilkudziesięciu podpaleń samochodów należących do żołnierzy walczących na froncie. Łatwo je odróżnić, bo to najczęściej SUV-y lub pick-upy pomalowane w matowe barwy ochronne. Sprawcami byli nastolatkowie, zwerbowani w mediach społecznościowych właśnie jako „jednorazówki”. Czasami byli zastraszani (np. zabiciem rodziny), czasami przekupieni, czasami otumanieni przez zręcznych podżegaczy.

Przykład drugi: również kilka miesięcy temu doszło w Ukrainie do wybuchów w komisjach wojskowych i urzędach. Nastolatkowie (obojga płci) – najczęściej nieświadomie – wnosili ładunki wybuchowe i wybuchali razem z nimi. Widziałam nawet taki wybuch zarejestrowany przez kamery monitoringu. Młoda dziewczyna, siadając na krzesełku w poczekalni, ustawiła papierową torbę obok swoich nóg. Za chwilę już nie żyła.

Po co to robi Federacja Rosyjska? By siać niepokój i przerażenie.

Po co jej agenci mieliby łowić w sieci polskich nastolatków i różnymi metodami (w tym psychologicznymi) nakłaniać ich do ruszenia z nożem do szkoły?

W tym samym celu. By siać niepokój i przerażenie. Nie ma rodzica w Polsce, który od wczoraj nie umiera ze strachu przed posłaniem swojej pociechy do szkoły. A taki terror psychiczny jest na rękę Federacji Rosyjskiej. I może być kolejnym elementem wojny hybrydowej.

„Wam to się wszystko z Rosją kojarzy” – można rzucić pod moim adresem, parafrazując ten dość stary i odrobinę sprośny dowcip. Jednak jak mówił kiedyś w wywiadzie dla nas były szpieg Vincent S. Severski, opowiadając o tym, jak działają rosyjskie służby: „Jeśli coś cuchnie Kremlem, to znaczy, że to Kreml”.

Ale to już jest robota dla służb.

ARLENA SOKALSKA
redaktor naczelna



ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 35b7964dc6

Z CZEGO JUTRO ...?

Andrzej Sadowski
Centrum im. Adama Smitha



Rzecz o źródłach długu, czyli państwo nieustraszone

Cztery dekady temu 16 października ogłoszono Nagrodę Banku Szwecji im. Alfreda Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych. Laureatem tej nagrody w roku 1986 został James M. Buchanan „za rozwinięcie kontraktowych i konstytucyjnych podstaw teorii podejmowania decyzji ekonomicznych i politycznych". Doceniono przede wszystkim dwa obszary jego pracy, którymi były teoria wyboru publicznego (public choice) oraz ekonomia konstytucyjna. J. Buchanan stosował do polityki te same założenia co do rynku, przyjmując, że politycy, urzędnicy i wyborcy kierują się własnym interesem, a nie abstrakcyjnym „dobrem wspólnym". Z tego względu można było wyjaśnić m.in. skłonność rządów do rozrostu, deficytów i ulegania grupom interesu. Uznał, że skoro w ramach bieżącej polityki trudno powstrzymać takie mechanizmy, proponował ograniczać je na poziomie reguł gry, czyli konstytucyjnych limitów zadłużenia, wydatków i opodatkowania. Reguły te miałyby być przyjmowane jak umowa społeczna, w warunkach niepewności co do przyszłej pozycji każdego uczestnika. Jego ocena i przewidywania wynikające z krytycznej analizy powszechnie nadużywanego „dobra wspólnego" doprowadziły do sformułowania publicznego ostrzeżenia, że jeżeli nie nałożymy konstytucyjnych ograniczeń na władzę fiskalną państwa, mechanizm demokratyczny nieuchronnie doprowadzi do nadmiernego rozrostu sektora publicznego i eksplozji długu publicznego. Według J. Buchanana potrzebujemy reguł konstytucyjnych, a nie wiary w mądrość rządzących, bo jak widać z doświadczeń od czasów Imperium Rzymskiego do obecnych więcej lub mniej systemów demokratycznych nawet w zwykłą roztropność obywatele nie mogą pokładać nadziei. Demokratyczny proces podejmowania decyzji większościowych pozwala zorganizowanym koalicjom na transferowanie bogactwa nie tylko od zasobniejszych mniejszości do większości, ale przede wszystkim od większości do gargantuicznie rozrastającego się aparatu rządowego. Finanse zwane publicznymi w obecnym kształcie w systemie quasidemokratycznym coraz częściej stają się narzędziem legalnego rabunku jednych grup przez drugie, zamiast służyć finansowaniu tych dóbr, które realnie służą obywatelom.

W roku 1979 Edward O. Wilson otrzymał Nagrodę Pulitzera w kategorii literatury faktu za książkę „O naturze ludzkiej" (On Human Nature). Choć Edward O. Wilson był biologiem ewolucyjnym i twórcą socjobiologii, a James M. Buchanan ekonomistą i twórcą teorii wyboru publicznego, w swoich fundamentalnych dziełach wykazują zaskakującą zbieżność myślenia. Obaj rewolucjonizowali swoje dziedziny nauki odzierając ludzkie zachowania z romantycznych i idealistycznych złudzeń.

Analizę zawartą w „O naturze ludzkiej" E. Wilsona z myślą ekonomiczno-polityczną J. Buchanana łączy demitologizacja ludzkich motywacji. Obaj autorzy zgodnie stwierdzają, że człowiekiem kierują głęboko zakorzenione, egoistyczne interesy, a bezinteresowny altruizm jest zjawiskiem rzadkim lub wręcz pozornym. E. Wilson postrzega społeczeństwo jako dynamiczną, biologiczną arenę, na której jednostki i grupy (klany, rodziny) stale rywalizują o zasoby i przetrwanie, a J. Buchanan definiuje państwo nie jako „życzliwego despotę", lecz jako targowisko, na którym różne grupy interesu (lobbyści, wyborcy, politycy) ścierają się ze sobą w celu przejęcia i redystrybucji zasobów publicznych.

Posługując się perspektywą Edwarda O. Wilsona i Jamesa M. Buchanana oraz obserwacją z ostatnich kilku dekad, w którym upadło „Imperium zła", a w systemach zachodnich aktywowały się „źródła demokracji totalitarnej", co diagnozował Jacob Leib Talmon, można niepohamowany przyrost długu rozpatrywać również poprzez pojawienie się nowego gatunku polityków.

W serialu „Latarnie" (Lanterns) z roku 2026 jeden z jego bohaterów przekonuje, że strach jest owocem ewolucji, a każdy nieustraszony gatunek jest skazany na zagładę. Hollywoodzcy scenarzyści zapewne nie zamierzali pisać traktatu o finansach publicznych, a jednak sformułowali diagnozę trafniejszą niż niejedno uzasadnienie do ustawy budżetowej. W przyrodzie strach jest informacją o zagrożeniu, która pozwala przetrwać. W gospodarce rolę tę pełni lęk przed stratą i bankructwem, który zmusza przedsiębiorcę do kalkulacji, a rodzinę do odkładania na czarną godzinę. Adam Smith zauważył, że to, co jest roztropnością w prowadzeniu każdej prywatnej rodziny, trudno uznać za szaleństwo w prowadzeniu wielkiego królestwa. Współczesne rządy przyjęły jednak założenie odwrotne i uznały, że reguły rządzące domowym budżetem ich nie dotyczą.

Strach, którego rząd nie odczuwa, nie znika jednak, tylko zostaje przeniesiony na obywateli. Pojawia się w postaci inflacji, która niszczy oszczędności, w postaci kolejnych podatków wprowadzanych pod coraz bardziej pomysłowymi nazwami oraz w postaci coraz szczelniejszej fiskalizacji, która każdego przedsiębiorcę traktuje jak podejrzanego. Im bardziej nieustraszeni stają się rządzący, tym więcej powodów do lęku mają ci, którzy je utrzymują.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

REKLAMA 0011584380

Ministerstwo Cyfryzacji

Poznaj 10 zasad cyberbezpieczeństwa



Dowiedz się więcej na bezpiecznydzien.pl

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | NASK

eprasa.pl 35b7964dc6

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”



5.10 PONIEDZIAŁEK

Polska przegrała z Bośnią i Hercegowiną 0:1 w ramach rozgrywek piłkarskiej Ligi Narodów. Spotkanie odbyło się w Zenicy. Po porażce Polacy pozostali na trzecim miejscu w swojej grupie dywizji B tych rozgrywek.

Sam mecz był bardzo zacięty. Polska drużyna wypracowała sobie kilka okazji do strzelenia bramki, ale pod nieobecność Roberta Lewandowskiego nie miał kto ich wykończyć. Bośniacy przechylili szalę na swoją korzyść w końcówce meczu



6.10 WTOREK

August Hanning, były szef niemieckich służb wywiadowczych BND, został aresztowany. Powód? Podejrzenia zdrady stanu i szpiegostwa na rzecz innego państwa. Szczegółów nie ujawniono, ale wszystko wskazuje na to, że tym krajem mogła być Rosja lub jedna z postsowieckich republik.

Hanning stał na czele BND w latach 1998-2005, kiedy kanclerzem Niemiec był Gerhard Schröder. Później pracował na mniej eksponowanych stanowiskach rządowych, w ostatnich latach pracował w sektorze prywatnym. Nie ujawniono, za jaki konkretnie okres stawia się mu zarzuty. Razem z nim zatrzymano jego bliskiego współpracownika Manfreda D., który w BND pracował do marca bieżącego roku

6.10 WTOREK

Szwecja wyśle systemy obrony powietrznej Patriot na wschodnią granicę Polski w ramach misji NATO. Jak podkreślił premier tego kraju Ulf Kristersson, ten ruch ma na celu zapewnienie „ochrony NATO-wskiego hubu logistycznego”, przez które przechodzi zaopatrzenie dla walczącej Ukrainy



8.10 CZWARTEK

Szef MSW Marcin Kierwiński zapowiedział wzmocnienie partoli policji wokół szkół.

Ta zapowiedź, wygłoszona po nagłym spotkaniu w kancelarii premiera, była reakcją na serię ataków z użyciem noży w kilku polskich szkołach. W wyniku tych zdarzeń, do których doszło w ostatnich dniach, zmarła jedna osoba, a kilka - w tym uczniowie - zostało rannych



5.10 PONIEDZIAŁEK

Hiszpański premier Pedro Sanchez ogłosił przedterminowe wybory w tym kraju. Zgodnie z kalendarzem wyborczym powinny się one odbyć w przyszłym roku, jednak szef rządu zdecydował się je przeprowadzić 29 listopada.

Obecnie rząd Sancheza zmaga się potężnymi protestami w kraju. W sondażach wyraźnie prowadzą partie opozycyjne

6.10 WTOREK

Zmarł Jeffrey Archer, jeden z najlepszych współczesnych pisarzy brytyjskich - a także jedna z najbarwniejszych postaci życia publicznego. Długo był politykiem Partii Konserwatywnej robiącym szybką karierę w ramach tego ugrupowania. W czasie procesu złapano go na krzywoprzysięstwie, przez co na cztery lata trafił do więzienia. Za kratkami zaczął pisać i stał się rozpoznawalnym autorem. Jego najsłynniejsze powieści to „Co do grosza”, czy „Kane i Abel”. Obie zostały sfilmowane. Archer zmarł, mając 86 lat





7.10 ŚRODA

Prokuratura nie odpuszcza w sprawie Marcina Romanowskiego. Właśnie skierowała do Sądu Apelacyjnego w Warszawie zażalenie na postanowienie o wydaniu byłemu wiceministrowi sprawiedliwości w rządzie PiS listu żelaznego. Według prokuratury popełniono błędy przy podejmowaniu tej decyzji. Romanowski jest jednym z podejrzanych w śledztwie w sprawie nieprawidłowości w wydatkowaniu środków z Funduszu Sprawiedliwości

8.10 CZWARTEK

Polska awansowała o 11 miejsc (na 65. pozycję w świecie) w rankingu klasyfikującym państwa według poziomu wolności gospodarczej. Na pierwszym miejscu zestawienia utrzymuje się Hongkong. Dalej plasują się Szwajcaria, Singapur i Nowa Zelandia.

Raport opracowywany jest przez tzw. Sieć Wolności Gospodarczej, którą tworzą think tanki z ponad 80 państw. Polskę reprezentuje w nim Centrum im. Adama Smitha

FOT. PAP/EPA (2), BROOSK SAIB, MALGORZATA GENCA, ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl 35b7964dc6

MATERIAŁ INFORMACYJNY ARiMR

0011568203

Energia dla gospodarstw.
ARiMR pomoże rolnikom obniżyć rachunki

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa otwiera kolejny nabór w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Od 5 października do 3 listopada 2026 r. rolnicy mogą ubiegać się o wsparcie inwestycji w odnawialne źródła energii. Nabór obejmie m.in. biogazownie rolnicze, instalacje fotowoltaiczne o mocy do 50 kW oraz inwestycje poprawiające efektywność energetyczną budynków.


Fot. Adobe Stock

Rosnące koszty energii sprawiają, że jej zużycie jest coraz ważniejszym elementem rachunku ekonomicznego gospodarstwa. Inwestycje w OZE oznaczają niższe koszty energii i większą niezależność gospodarstw.

Trzy obszary wsparcia

W ramach naboru dostępne są trzy obszary: budowa biogazowni rolniczej, inwestycje w energię słoneczną oraz poprawa efektywności energetycznej budynków.
Obszar A obejmuje budowę biogazowni rolniczej. To rozwiązanie szczególnie interesujące dla gospodarstw prowadzących produkcję zwierzęcą.
Obszar B dotyczy wykorzystania energii słonecznej. Wsparcie obejmuje m.in. instalacje fotowoltaiczne o mocy do 50 kW wraz z magazynami energii elektrycznej, instalacje produkujące ciepło z energii słonecznej, magazyny energii cieplnej, pompy ciepła oraz systemy zarządzania energią.
Obszar C skierowany jest do gospodarstw, które chcą ograniczyć zużycie energii w budynkach. Pomoc można przeznaczyć m.in. na docieplenie ścian, dachów i stropów, wymianę okien, drzwi i bram, oświetlenie LED, odzysk ciepła oraz systemy monitorowania i zarządzania energią.

Do 1,5 mln zł na biogazownię

Najwyższe wsparcie przewidziano na budowę biogazowni rolniczej. Można otrzymać do 1,5 mln zł przy poziomie pomocy do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych.
Inwestycję trzeba jednak przygotować wcześniej. Budowa biogazowni może wymagać zgłoszenia robót budowlanych lub pozwolenia na budowę, dlatego formalności warto rozpocząć z wyprzedzeniem.

Rosnące koszty energii sprawiają, że inwestycje w OZE oznaczają dla gospodarstw niższe rachunki i większą niezależność.

Fotowoltaika z magazynem energii elektrycznej

W najnowszym naborze obowiązują nowe wytyczne wprowadzone w lipcu. Najistotniejsza zmiana dotyczy sposobu rozliczania instalacji fotowoltaicznych i magazynów energii elektrycznej. Zamiast refundacji kosztów wynikających z faktur wprowadzono koszty jednostkowe.
Zastosowanie kosztów jednostkowych upraszcza rozliczenia tego rodzaju inwestycji – nie trzeba przedstawiać ofert wykonawców ani faktur przy ubieganiu się o płatność.
Jest jednak ważny warunek: przy zakupie PV magazyn energii elektrycznej jest obowiązkowy. Jego minimalna pojemność musi wynosić 0,5 kWh na każdy 1 kW mocy mikroinstalacji PV. Przy mikroinstalacji PV 20 kW potrzebny jest więc magazyn o pojemności co najmniej 10 kWh.
W obszarze B można także inwestować w instalacje produkujące ciepło z energii słonecznej, magazyny energii cieplnej, pompy ciepła i systemy zarządzania energią. Pompa ciepła musi być sprzężona z instalacją PV.
Wysokość wsparcia na tego typu inwestycje wynosi 200 tys. zł, a poziom refundacji to 65 proc. kosztów kwalifikowalnych lub jednostkowych.

Ograniczanie strat

Czasem większe oszczędności daje ograniczenie zużycia energii niż produkowanie jej w nadmiarze. Temu służy obszar C.
Na poprawę efektywności energetycznej budynków można otrzymać do 200 tys. zł, przy wsparciu do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych. Pomoc obejmuje m.in. termomodernizację budynków, odzysk ciepła, oświetlenie LED oraz systemy monitorowania energii. Możliwy jest także zakup kotłów na biomasę, z wyłączeniem kotłów do spalania słomy.
Wsparcie dotyczy budynków wykorzystywanych do produkcji rolnej, m.in. budynków inwentarskich, chłodni, szklarni, pieczarkarni, magazynów i przechowalni.
Warunkiem jest zmniejszenie w każdym objętym inwestycją budynku wskaźnika zapotrzebowania na energię końcową (EK) i pierwotną (EP) o co najmniej 30 proc. (każdy).

Łączenie inwestycji

Rolnik może skorzystać ze wsparcia w ramach więcej niż jednego obszaru. Obowiązują jednak limity łącznej pomocy. Przy połączeniu obszarów A i B limit wynosi 1,5 mln zł; A i C – 1,7 mln zł; B i C – 400 tys. zł; obszary A, B i C - 1,7 mln zł.
Pozwala to planować modernizację gospodarstwa etapami. Np. rozpocząć od fotowoltaiki z magazynem, następnie poprawić efektywność energetyczną budynków, a później zainwestować w biogazownię.

Istotne przygotowanie

Nabór potrwa od 5 października do 3 listopada 2026 r.
Wnioskodawca musi m.in. posiadać numer EP, spełnić warunki dotyczące prowadzenia działalności rolniczej oraz odbyć szkolenie z efektywności energetycznej gospodarstwa. Szkolenie powinno być ukończone nie wcześniej niż 24 miesiące przed złożeniem wniosku o przyznanie pomocy. Możliwe jest także zobowiązanie się do odbycia go w późniejszym terminie, ale nie później niż do dnia złożenia wniosku o płatność.
Inwestycji nie wolno rozpocząć przed złożeniem wniosku o przyznanie pomocy.
W przypadku przedsięwzięć wymagających dokumentacji budowlanej formalności trzeba więc załatwić odpowiednio wcześnie.
Należy również sprawdzić stan budynków. W obszarach B i C pomoc nie zostanie wypłacona, jeśli inwestycja została zrealizowana w budynku, którego pokrycie dachowe zawiera azbest. Przy planowaniu paneli na eternicie trzeba więc uwzględnić również wymianę tego pokrycia, którego koszt nie jest objęty dofinansowaniem.

Tyle punktów

O kolejności przyznawania wsparcia decyduje suma punktów. Premiowane są m.in. gospodarstwa prowadzące produkcję zwierzęcą, ekologiczną lub integrowaną. Dodatkowe punkty mogą otrzymać młodzi rolnicy oraz inwestujący na obszarach chronionych.
W obszarze A punktowany jest również udział nawozów naturalnych z własnego gospodarstwa. W obszarze B znaczenie mają poza powyższymi m.in. brak wcześniejszej pomocy na zakup PV w ramach wybranych działań PROW 2014-2020 oraz sprawność instalacji. W obszarze C dodatkowo premiowane są m.in. kompleksowa realizacja inwestycji, likwidacja źródeł ciepła wykorzystujących kopalne paliwa stałe oraz zastosowanie systemu monitorowania i zarządzania energią.
Aby pomoc mogła zostać przyznana, operacja musi uzyskać co najmniej 6 punktów.

W ramach przypomnienia

Najbliższy nabór ARiMR to szansa nie tylko na dotację, lecz także na ograniczenie kosztów produkcji. Maksymalnie można otrzymać 1,5 mln zł na biogazownię oraz po 200 tys. zł na energię słoneczną i poprawę efektywności energetycznej. Poziom wsparcia sięga do 65 proc., a wnioskodawca może ubiegać się o zaliczkę do 50 proc. przyznanej pomocy.
Warto już teraz przeanalizować zużycie energii, koszty i możliwości inwestycyjne, sprawdzić kryteria punktowe oraz przygotować dokumenty. Dobrze zaplanowana inwestycja może przez lata obniżać rachunki i zwiększać odporność gospodarstwa na zmiany cen energii.

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Dofinansowane przez Unię Europejską

Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał dofinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

eprasa.pl 35b7964dc6

NOŻOWNICY W SZKOŁACH

Uczeń z nożem w ręku. Seria ataków w polskich szkołach

Dwa dni: dwa ataki nożowników w szkole, uczniów jeszcze. Nastolatkowie ruszyli na swoich kolegów, nauczycieli, pracowników placówek. Do tego jedno zatrzymanie prewencyjne ucznia, który „planował zrobić coś złego". Ponad dziesięć osób w wyniku tych ataków zostało rannych, jedna z ofiar nie żyje

Dorota Kowalska



FOT. PAP/POLICJA MAZOWSZE

Nastolatek, który zaatakował w Ostrołęce, został bardzo szybko ujęty

Ta wiadomość zszokowała opinię publiczną, ale też takie historie zdarzają się raczej w amerykańskich, nie polskich szkołach. W środę w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Ostrołęce 19-latek, uczeń tej placówki, zaatakował nożem dziewięć osób - pięcioro uczniów, dwoje nauczycieli i dwie osoby postronne.

Było około godz. 11.00, w szkole zrobiło się tłoczno. Jakub Z. wykorzystał sytuację, wyjął nóż. Wszędzie słychać było krzyki. Totalny chaos. Gdy nauczyciele spostrzegli, co się dzieje, zaczęli zamykać się z uczniami w klasach. - To się działo po sąsiedzku, w sąsiedniej klasie. Chłopak zakrwawiony wybiegł z dołu, biegł do góry. Jak wbiegł do klasy, to pani zamknęła drzwi na klucz. Potem było jakieś szarpnięcie, jakby ktoś chciał wejść do środka. Ktoś szarpał za drzwi - opowiada mediom uczennica ostrołęckiej szkoły.

Być może zdecydowana postawa nauczycieli uratowała życie im i uczniom. Napastnik wybiegł ze szkoły, nie miał jak dopaść kolejnych ofiar.

Policja zatrzymała go jakieś 500 metrów od szkoły, w rejonie plaży miejskiej. Chłopak przed zatrzymaniem dokonał samookaleczenia, trafił do szpital. Żyje.

Jakub Z. zaplanował ten atak

Jakub Z. uchodził za skrytego, trochę wycofanego. - Nie było o nim głośno. Nie rzucał się w oczy, był bardzo cichy - opowiadała mediom 16-latka, uczennica szkoły w Ostrołęce.

Dlaczego zaatakował kolegów i uczniów?

- Z tego, co nam wiadomo, to z jego ust padły słowa, że chce, aby w jego urodziny było o nim głośno - tak odpowiedziała. Jakub Z. miał w środę urodziny, skończył 19-lat.

- Mimo że nie było mnie tutaj na miejscu, to bardzo mocno mną to wstrząsnęło. Do tej pory czuję adrenalinę. Nie wyobrażam sobie, jak muszą się czuć nauczyciele, wszyscy pracownicy szkoły i uczniowie - mówiła 16-latka i dodała, że rozmawiała z kilkoma uczniami, którzy byli na miejscu, są przejęci.

- Czują traumę i strach przed przyjściem z powrotem do szkoły - tłumaczyła.

Ranni, ofiary Jakuba Z., trafili do szpitali w Łomży i Ostrołęce. Ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. W mieście zwołano sztab kryzysowy. Uczniom i nauczycielom szkoły zapewniono wsparcie psychologiczne, a placówkę tymczasowo zamknięto.

Dzisiaj wiemy już, że 19-latek był pod stałą opieką specjalistów, w tym psychologa i pedagoga, że interesowały się nim również służby społeczne. Jakub Z. był w przeszłości notowany za posiadanie narkotyków, jednak tamta sprawa została umorzona.

Prokuratura Rejonowa w Ostrołęce poinformowała o wszczęciu śledztwa w sprawie usiłowania zabójstwa. Chłopak dokładnie wszystko zaplanował, to nie był przypadkowy atak kierowany emocjami.

- Mamy już pewność, że sprawca tego zdarzenia wszedł z niebezpiecznym narzędziem w postaci noża na teren szkoły i powiem więcej, w plecaku, który także wniósł na teren szkoły, znajdował się ładunek wybuchowy domowej konstrukcji, który prawie został zdetonowany - mówił na antenie TVN24 prokurator krajowy Dariusz Korneluk

Dodał, że z informacji, którą otrzymał od prokuratora okręgowego w Ostrołęce, wynika, że z wniesionego przez ucznia plecaka w pewnym momencie zaczął wydobywać się dym.

- Plecak był już w sali komputerowej, (...) i tylko i wyłącznie przez właściwe zachowanie pani nauczycielki i uczniów został wyrzucony przez okno i być może to (...) uniemożliwiło jego detonację - powiedział prok. Korneluk.

Opinia publiczna poczuła się trochę jak w innej rzeczywistości. Takie newsy nigdy wcześniej do niej nie docierały. Nożownicy atakowali w szkołach we Francji, w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, nie w naszym kraju.

- Takiego zdarzenia w Polsce nie było - przyznała minister edukacji Barbara Nowacka w TVN24. Mówiła też o „bardzo dobrej, spokojnej i błyskawicznej" reakcji dyrektora, społeczności szkolnej oraz służb.

- Udało się uniknąć tragedii, udało się uniknąć katastrofy - oceniła minister.

Wczoraj, o godz. 9.00 w Ostrołęce po raz kolejny zebrał się sztab kryzysowy, w szkołach zostały odwołane lekcje. W każdej dyżuruje psycholog, do którego można się zgłosić.

Po mieście krążą jednak pogłoski, że planowane są podobne ataki w innych szkołach. Mieszkańcy boją się wychodzić z domów. Policja apeluje o zachowanie spokoju, nie potwierdza tych plotek.

„Opierajmy się wyłącznie na sprawdzonych i potwierdzonych komunikatach przekazywanych przez służby. Rozpowszechnianie i powielanie niesprawdzonych informacji może powodować niepotrzebny chaos i dezinformację, a także budować napięcie i niepokój wśród mieszkańców. Cały czas pracujemy pod nadzorem prokuratury nad wyjaśnieniem wszystkich okoliczności tego zdarzenia. Prosimy o odpowiedzialność i powstrzymanie się od przekazywania informacji, które nie zostały potwierdzone przez służby" - zaapelowała za pośrednictwem mediów społecznościowych policja z Ostrołęki.

Kolejne ataki uczniów

To nie koniec złych wiadomości. W dniu ataku nożownika w Ostrołęce, policjanci z Sierpca zatrzymali 17-latka. Do Komendy Powiatowej Policji w tym mieście zgłosił się jeden z nauczycieli, przekazał policjantom niepokojące informacje otrzymane od uczniów.

„Z jego relacji wynikało, że uczeń szkoły wśród rówieśników przekazywał, że planuje w środę 7 października „zrobić coś złego w szkole"" - czytamy w komunikacie policji.

Śledczy z Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Sierpcu w środę rano weszli do mieszkania nastolatka, zatrzymali go.

Podczas przeszukania w domu chłopaka zabezpieczono należącą do niego saszetkę, w której znajdowały się dwa noże.

„Śledczy zabezpieczyli również jego telefon komórkowy, w którym natrafiono na wyszukiwanie informacji dotyczących planowanego ataku" - podała mazowiecka policja.

- Na zabezpieczonych nośnikach elektronicznych znaleziono wszystkie informacje, czego szukał w internecie ten młody człowiek. Szukał informacji, jak właśnie zorganizować tego typu krwawe wydarzenie - mówił na specjalnie zwołanej po ataku w Ostrołęce konferencji prasowej Maciej Kierwiński, szef MSWiA. Towarzyszyła mu Barbara Nowacka, minister edukacji.

Konferencja jeszcze się nie skończyła, kiedy przyszedł następny wstrząs.

„Kolejny atak w szkole z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Tym razem 15-latek zaatakował w szkole podstawowej w miejscowości Leszczydół-Nowiny pod Wyszkowem" - informowały media.

Co wiadomo w tej chwili? Nastolatek wszedł na teren szkoły w trakcie trwania lekcji. Na korytarzu ostrym narzędziem zaatakował jedną z pracownic placówki. Ranna została również nauczycielka. Hałas usłyszał dyrektor szkoły, który wyszedł ze swojego gabinetu i podjął interwencję. To on obezwładnił napastnika i przekazał wezwanym policjantom, którzy błyskawicznie pojawili się na miejscu zdarzenia. Zaatakowana pracownica placówki zmarła, kobieta miała 37 lat, ranni są nauczycielka i dyrektor szkoły.

Zaatakowany dyrektor, Krzysztof Ochmański przekazał w rozmowie z Polskim Radiem RDC, że 15-latek miał przy sobie trzy noże.

- Wbiegł i ranił woźną. Krzyk usłyszałem, ale jak wybiegłem na korytarz, to niestety nie widziałem, co się stało, bo korytarz był pusty - relacjonował Krzysztof Ochmański. - On dotykał klamki drzwi i zwrócił się w moją stronę z rękami do góry. Zranił mnie tylko ostrzem noża, takiego dłuższego, bo on miał trzy noże, i uderzył mnie trzonkiem. W tym czasie już jakoś tam go opanowałem - opowiadał dalej.

Jak dodał, napastnik wyrwał się mu i dopiero wtedy dyrektor zdał sobie sprawę, że w rękach trzyma prawdziwy nóż.

Motywy działania 15-latka nie są znane. To absolwent

eprasa.pl 35b7964dc6

placówki, obecnie uczeń szkoły średniej. Policja nie ma informacji, czy napastnik coś krzyczał w trakcie ataku ani czy podawał jakieś powody swego działania.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce prok. Elżbieta Edyta Łukasiewicz przekazała w rozmowie z Polską Agencją Prasową, że sprawą 15-latka zajmie się wydział rodzinny i nieletnich Sądu Rejonowego w Wyszkowie. Jak zaznaczyła, śledczy na miejscu na bieżąco zabezpieczają ślady i dowody. Materiały zostaną przekazane do sądu. Łukasiewicz wyjaśniła jednocześnie, że osoba, która skończyła 15 lat, może odpowiadać za swoje czyny jak dorosły. Decyzję w tej sprawie podejmie jednak sąd.

Pilne spotkanie u premiera

Politycy nie mają wątpliwości: trzeba reagować natychmiast. Premier Donald Tusk wezwał w czwartek w trybie pilnym ministrów: Spraw Wewnętrznych i Administracji, Cyfryzacji, Edukacji Narodowej i Zdrowia, a także koordynatora służb specjalnych oraz komendanta głównego Policji.

- To bardzo smutne i tragiczne, że muszę zacząć to dzisiejsze spotkanie od wyrazów współczucia, kondolencji, wsparcia dla rodziny zmarłej przed chwilą pracownicy szkoły pod Wyszkowem, która zginęła od zadanych ciosów nożem. Jej życia, mimo starań, nie udało się uratować - powiedział przed spotkaniem premier. Wiadomo, że kobieta zostawiła dójkę dzieci. Jej rodzina ma zostać objęta opieką.

- Zadaniem dla rządu, dla mnie osobiście i dla pań i panów ministrów jest zrobienie wszystkiego, co w mocy państwa, wszystkiego, bez wyjątku, aby zatrzymać albo ograniczyć przynajmniej ryzyka wynikające z fali przemocy, jaka ma dzisiaj miejsce - mówił Tusk. - Do tej pory Polska była państwem bardzo bezpiecznym. Jeśli chodzi o tego typu zdarzenia, akty terroru w szkołach z wielkim smutkiem obserwowaliśmy dramaty za oceanem, w wielu innych państwach europejskich. Polski do tej pory to nie dotyczyło, ale ten trend jest dramatycznie niepokojący w całej Europie i nie miejmy złudzeń: bez zdecydowanych działań te dramatyczne, ryzykowne sytuacje mogą się powtórzyć - dodał.

Szef rządu nie ukrywał, że ma obawy przed „ponurym fenomenem naśladownictwa", bo w internecie przemoc jest mocno promowana. - Ten kult przemocy stał się wszechobecny w świecie i niestety dotarł także do Polski. Więc zdajemy sobie sprawę, że te źródła są tutaj wielorakie. To może być kryzys psychiczny potencjalnego agresora, ale często związany jest z zachowaniami grupowymi - mówił Donald Tusk. Podkreślił, że takie niebezpieczne sytuacje należy monitorować.

Zdradził, że 15-letni zabójca z Leszczydołu-Nowin miał na sobie kask z kamerką.

- Jego intencją było filmowanie tej akcji z nożem - mówił.

W związku z ostatnimi wydarzeniami Komenda Główna Policji zdecydowała o zwiększeniu obecności funkcjonariuszy w pobliżu placówek oświatowych. Policjanci mają też przynajmniej raz dziennie pojawiać się w szkołach. W każdej szkole, jak podkreślił premier, mają być dostępne informacje o telefonach, zarówno 112, jak i 116 111 - to telefon do psychologa. Tusk przypomniał, że rząd ma związane ręce w sprawie blokowania treści w sieci.

- Mieliśmy ambitną ustawę, projekt ustawy przeszedł przez Sejm, przez Senat i to była twarda ustawa, jedna z najmocniejszych tego typu propozycji zmiany prawa w Europie, która miała chronić ludzi, w tym przede wszystkim dzieci i młodzież, przed agresją, rozmaitymi formami przemocy czy prób wykorzystania w internecie. Ona została zawetowana. W związku z tym my dzisiaj nie możemy zablokować treści, tylko musimy się zwracać do sądu albo z uprzejmą prośbą do właściciela platformy czy dysponenta danych - mówił. - Obawiam się, że w Senacie będziemy musieli przywrócić te zapisy. I mam nadzieję, że nikomu już nie przyjdzie do głowy, żeby powiedzieć, że tak zwana wolność do przemocy, przekleństwa, pogardy, wymuszania, wykorzystywania młodocianych to nie jest obszar, gdzie możemy mówić o wolności słowa. Tam państwo musi wkroczyć zdecydowanie i do tego musimy mieć te narzędzia - dodał Tusk.

Zwrócił się też do ministra Siemoniaka, Kierwińskiego i Gawkowskiego o „radykalny wzrost działań wyspecjalizowanych jednostek, które monitorują sytuację w internecie.

- Do tej pory mieliśmy poczucie, że przygotowujemy się do zdarzeń w przyszłości: cyberprzestępczość, ale też zagrożenie spowodowane przez agresywne zachowania państw zewnętrznych. To wszystko jest nadal naszym priorytetem, ale proszę, abyśmy zarówno jeśli chodzi o Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, oczywiście policję, NASK i narzędzia, które są w dyspozycji, jak najszybciej doprowadzili do zintegrowanego, intensywnego działania w sieci. To jest monitorowanie, zapobieganie, interwencja - zaapelował szef rządu.

Jeszcze w czwartek Sejm miał przyjąć akt o usługach cyfrowych, dzięki któremu będzie można szybko blokować nielegalne treści, w tym nawoływanie do przemocy i podejmowania niebezpiecznych działań.

Walka o bezpieczeństwo w szkołach

Wcześniej Barbara Nowacka, przekazała, że wspólnie z szefem tego resortu Marcinem Kierwińskim widzą potrzebę wzmacniania prowadzonych już działań zmierzających do poprawy bezpieczeństwa.

- Dlatego powstaje program analogiczny do programu, jaki mamy wspólnie z MON-em, czyli do „Edukacji z wojskiem" we współpracy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji - powiedziała.

Dodała, że już w tym roku w każdej szkole odbędzie się przynajmniej jedno spotkanie dedykowane procedurom bezpieczeństwa w sytuacjach kryzysowych. W spotkaniach tych weźmie udział społeczność szkolna i przedstawiciele służb wydelegowanych przez MSWiA.

Nowacka zapowiedziała, że Ministerstwo Edukacji Narodowej w ramach reformy Kompas Jutra wprowadziło zmianę.

- Od 1 września tego roku jedna godzina wychowawcza w miesiącu musi być poświęcona na działania albo patriotyczne, albo obronnościowe, ale tak naprawdę patriotyzm i odpowiedzialność za Polskę, umiejętność działań proobronnych i ochrony ludności cywilnej są koniecznością - mówiła.

Do szkół rozesłany zostanie także poradnik bezpieczeństwa dla dzieci i młodzieży.

- Poradnik wskazuje różne zagrożenia i jak młodzi ludzie mają sobie z nimi radzić - wyjaśniła wiceminister edukacji Paulina Piechna-Więckiewicz.

Piechna-Więckiewicz zapowiedziała, że w przygotowaniu jest również poradnik przeciwdziałania przemocy rówieśniczej skierowany do młodzieży. Resort edukacji zaprosił do jego współtworzenia młodych ludzi oraz ekspertów.

Wiceszefowa MEN przekazała, że we wrześniu Komitet Monitorujący FERS zatwierdził program szkoleń skierowanych do dyrektorów szkół i przedszkoli z procedur i budowania zespołów kryzysowych.

- Przeszkolimy 7,5 tys. dyrektorów szkół i przedszkoli, mamy na to ponad 45 mln zł. Codziennie w polskich szkołach pracują policjanci, strażacy, przedstawiciele służb i instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Wspólnie działamy na rzecz bezpiecznej szkoły - podkreśliła.

W to działanie muszą się włączyć także rodzice. Rozmawiać ze swoimi dziećmi, obserwować je, reagować w razie potrzeby. To w domu, nie w szkole, uczniowie spędzają większość swojego dnia.

Dwa ataki w dwa dni, trzeci udaremniony. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY BIURA INFORMACJI KREDYTOWEJ 0011589474

Ponad 120 tys. użytkowników Score Huntera. BIK uczy odpowiedzialnych decyzji kredytowych przez grę

Łatwy dostęp do zakupów na raty, płatności odroczonych i innych form finansowania sprawia, że pierwsze decyzje kredytowe podejmujemy dziś bardzo wcześnie. Dlatego wiedza o odpowiedzialnym zaciąganiu zobowiązań, budowaniu historii kredytowej i ochronie danych powinna pojawić się jeszcze przed pierwszym kredytem. Biuro Informacji Kredytowej, które od lat łączy rolę instytucji wspierającej bezpieczeństwo rynku finansowego z edukacją społeczną, rozwija platformę Score Hunter, która pozwala młodym ludziom poznawać te zagadnienia w praktyce i bez ryzyka.

Pierwsze decyzje kredytowe mają znaczenie

Pierwsza pensja, karta kredytowa, telefon kupiony na raty czy zakupy z odroczoną płatnością. Każda z tych decyzji wydaje się niewielka, dopóki kilka zobowiązań nie zacznie obciążać jednego budżetu. Młody człowiek może mieć własne dochody, ale nie zawsze zna mechanizmy związane z kredytem, historią spłat czy oceną wiarygodności kredytowej.

Dlatego zasady odpowiedzialnego korzystania z kredytów i innych form finansowania warto poznawać jeszcze przed wejściem na rynek pracy. Chodzi przede wszystkim o ocenę, czy nowe zobowiązanie mieści się w budżecie oraz o zrozumienie, jakie konsekwencje mogą mieć dzisiejsze decyzje w przyszłości.

Równie ważne jest bezpieczeństwo danych. Zakupy i bankowość przeniosły się do internetu, dlatego odpowiedzialne korzystanie z usług finansowych wymaga także ochrony danych osobowych, rozpoznawania zagrożeń i prób wyłudzeń.



Score Hunter pozwala uczyć się na błędach bez ryzyka

Biuro Informacji Kredytowej gromadzi i udostępnia informacje o historii kredytowej klientów banków, SKOK-ów i firm pożyczkowych, a także prowadzi działania edukacyjne dotyczące odpowiedzialnego korzystania z finansowania i bezpieczeństwa danych.

Jednym z takich narzędzi jest **Score Hunter – internetowa platforma edukacyjna wykorzystująca elementy grywalizacji.** Użytkownicy zdobywają wiedzę w krótkich, przystępnych dawkach, a następnie sprawdzają ją w zadaniach i quizach. Mogą też brać udział w pojedynkach i wyzwaniach oraz przejść misję scenariuszową, która pozwala wykorzystać zdobytą wiedzę w praktyce.

Platforma została przygotowana przede wszystkim z myślą o środowisku akademickim, ale BIK wykorzystuje ją także w edukacji uczniów szkół ponadpodstawowych. Ze Score Huntera skorzystało dotychczas ponad 120 tys. użytkowników z uczelni w całej Polsce. Program pokazuje m.in. jak odpowiedzialnie zaciągać i spłacać zobowiązania, budować historię oraz wiarygodność kredytową, chronić swoje dane i rozpoznawać próby wyłudzeń.

BIK rozwija narzędzie tak, aby mogło wspierać młodych ludzi na różnych etapach – od szkoły średniej, przez studia, po pierwsze doświadczenia zawodowe. To istotne, bo łatwiej zrozumieć konsekwencje decyzji kredytowej, kiedy można przećwiczyć ją w symulowanym środowisku, zanim podobna sytuacja pojawi się w prawdziwym życiu.

Warto wiedzieć, co mówi o nas historia kredytowa

Historia kredytowa zaczyna powstawać wraz z pierwszym zobowiązaniem. Informacje o terminowej obsłudze kredytów mogą być brane pod uwagę przez instytucje finansowe przy ocenie kolejnych wniosków o finansowanie.

Za pośrednictwem portalu BIK konsumenci mogą sprawdzać swoją historię kredytową i informacje o zobowiązaniach. Taka wiedza nie zastąpi rozsądnego planowania, ale pozwala lepiej rozumieć własną sytuację.

Wiedza o odpowiedzialnym korzystaniu z kredytów i ochronie danych ma największą wartość wtedy, gdy wyprzedza problem. Zanim pojawi się pierwsze zobowiązanie albo próba wykorzystania naszych danych, warto wiedzieć, jak ocenić swoje możliwości spłaty, dbać o historię kredytową i chronić się przed wyłudzeniami. Score Hunter pomaga przełożyć tę wiedzę na praktykę i lepiej przygotować się do decyzji, które pojawiają się w dorosłym życiu.

eprasa.pl 35b7964dc6

POLITYKA

Borys Budka: Politycy PiS nie cofną się przed niczym, by odzyskać władzę

Jestem przekonany, że Jarosław Kaczyński jest w stanie stworzyć rząd z każdym, byleby tylko dorwać się do władzy - czy z Adrianem Zandbergiem, czy z Grzegorzem Braunem, czy z nimi obydwoma. Dla Kaczyńskiego nie ma żadnych granic – mówi Borys Budka, polityk KO, były minister sprawiedliwości

Dorota Kowalska

Waldemar Żurek zapowiedział, że w ciągu kilku tygodni, czyli jesienią, odbuduje Trybunał Konstytucyjny, że będą w nim orzekać prawomocni wybrani sędziowie. Jak właściwie zamierza to zrobić?

O szczegóły należy pytać pana ministra Żurka. Natomiast znając jego kompetencje, zaangażowanie oraz chęć naprawienia tego, co zepsuto, będzie to działanie kompleksowe i z pewnością zgodne z polską konstytucją.

Pan był ministrem sprawiedliwości, jakby pan w takim razie odbudował Trybunał Konstytucyjny? Bo sytuacja wydaje się patowa: na czele TK stoi Bogdan Święczkowski, bliski współpracownik Zbigniewa Ziobry, który nie zamierza ułatwiać wam zadania.

Powiem bardzo ogólnie: należy doprowadzić wszystkimi możliwymi sposobami do tego, żeby w Trybunale Konstytucyjnym zaczęli orzekać sędziowie, którzy zostali prawidłowo wybrani przez Sejm Rzeczypospolitej. Nie ma w tym procesie żadnej roli prezydenta, nie ma w nim żadnej roli Bogdana Święczkowskiego. Natomiast, jeśli ktoś łamie prawo tak, jak to robi prokurator Święczkowski, to państwo musi działać. To oczywiste, że rozważane są warianty, w których bez jego zgody sędziowie wejdą do Trybunału.

Mówi pan o wariantach siłowych?

Mówię o wariantach, które są wariantami zgodnymi z prawem, a nie po myśli pana Święczkowskiego. A dzisiaj wariant siłowy stosuje właśnie Bogdan Święczkowski i należy odwrócić tę błędną narrację, w którą usilnie prowadzą ci, którzy przez osiem lat łamali polską konstytucję. Powtarzam: dzisiaj siłowo Trybunał jest blokowany przez „wice-Ziobrę", czyli Święczkowskiego, który, niestety, ma za sobą prezydenta Nawrockiego.

No dobrze, porozmawiajmy w takim razie o szczegółach. To co: sędziowie, którzy złożyli ślubowanie w Sejmie, wejdą do swoich pokoi w asyście policji?

Tu chciałbym uciąć dyskusję: nie będę mówił o szczegółach, bo nie chcę wychodzić przed szereg. Natomiast nie widzę żadnego konstytucyjnego problemu w tym, żeby, jeżeli ktoś siłowo blokuje Trybunał, państwo z użyciem odpowiednich służb ten Trybunał odblokowało. Takie jest zresztą zadanie państwa.

W jaki sposób?

Powiem nieco żartobliwie: nie ma znaczenia, czy będzie to „podkop" zrobiony pod Trybunałem, czy zrzut na spadochronie na teren trybunału, czy będzie to normalne wejście sędziów przez drzwi do tej instytucji. Ważne jest, by ci sędziowie wreszcie zaczęli orzekać.

Pana zdaniem, Trybunał Konstytucyjny, który traktowany jest trochę jak atrapa, bo to instytucja, która nie ma dzisiaj żadnego autorytetu, jest w ogóle w stanie ten autorytet odzyskać?

Odzyska, ponieważ zostali tam przez obecny Sejm wybrani ludzie, którzy są znakomitymi prawnikami, którzy wiedzą doskonale, na czym polega rola Trybunału. Czeka ich bardzo trudne zadanie, ale krok po kroku ten autorytet zostanie odbudowany.

Donald Tusk, w ogóle koalicja rządząca zapowiadała w kampanii parlamentarnej, że Trybunał Konstytucyjny zostanie odpolityczniony i że będą tam zasiadali wyłącznie prawnicy. Tymczasem Maciej Berek politykiem wprawdzie nie jest, ale był szarą eminencją tego rządu, najbliższym współpracownikiem Donalda Tuska. Czy te deklaracje nie idą trochę w poprzek rzeczywistości?

Tak jak pani powiedziała, Maciej Berek nigdy nie był politykiem. Jest człowiekiem, który świetnie zna się na legislacji, jest znakomitym prawnikiem i właśnie on jest jedną z osób, które - dzięki wybitnemu doświadczeniu legislacyjnemu - będą mogły odbudowywać to, co przez osiem lat zostało przez rząd Zjednoczonej Prawicy zrujnowane. To już nie są czasy, kiedy w Trybunale Konstytucyjnym lądowali politycy z partyjnymi legitymacjami wprost z ław poselskich, tak jak pani Pawłowicz czy pan Piotrowicz, albo prokuratorzy jak Bogdan Święczkowski, prawa ręka Ziobry.

Mówi się, że kolejną instytucją, którą chce uzdrowić minister Żurek, jest prokuratura. Problem w tym, że tutaj też specjalnie nic zrobić nie można, bo odwołanie zastępców prokuratora generalnego może się odbyć tylko i wyłącznie za zgodą prezydenta.

Należy wrócić do historii i sięgnąć bezpośrednio do konstytucji. Wbrew niej na końcu swoich rządów, Jarosław Kaczyński wspólnie ze Zbigniewem Ziobro nielegalnie zabetonowali prokuraturę, przyznając prezydentowi kompetencje do współdecydowania o obsadzie tej instytucji. Jest to oczywiste naruszenie ustawy zasadniczej, ponieważ to rząd jest odpowiedzialny za ten element naszego bezpieczeństwa i prokurator generalny ma pełne prawo do obsady swoich zastępców z pominięciem prezydenta. I być może to jest właściwa droga, by tę instytucję uzdrowić.

No dobrze, ale przecież konstytucji nie zmienicie.

Powtarzam: kiedy Kaczyński i Ziobro wiedzieli, że przegrają wybory, zmienili ustawę w ten sposób, że uzależnili możliwość nominacji zastępców prokuratora generalnego od zgody prezydenta, pomimo że konstytucja nie przewiduje żadnej jego roli w tym zakresie. Co więcej, było to zrobione wyłącznie po to, żeby zabetonować układ w prokuraturze.

Ale ta ustawę obowiązuje!

Polską konstytucję należy stosować bezpośrednio. Być może w tej sprawie będzie potrzebny głos prawdziwego Trybunału Konstytucyjnego. Być może pan Prokurator Generalny uzna, że jeżeli konstytucja nie przewiduje roli prezydenta w nominacji jego zastępców, to nie będzie występował o taką zgodę. Wyobraźmy sobie taką sytuację: przed wyborami w 2023 roku PiS zmienia ustawę o Radzie Ministrów i zapisuje w niej, że zgody prezydenta wymagają nominacje wszystkich wiceministrów. To w sposób oczywisty byłoby niezgodne z konstytucją i podejrzewam, że żaden premier by tego przepisu nie stosował. Polska konstytucja daje pierwszeństwo stosowania jej bezpośrednio i w sytuacji, w której mamy takie ewidentne naruszenia prawa, powinno to nastąpić.

Sytuacja, jaka jest w prokuraturze powoduje, że rozliczenia idą jak idą. Minister Żurek sam przyznaje, że chciałby szybszego tempa śledztw w sprawie afery Zondacrypto, Funduszu Sprawiedliwości, Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Zmiana prokuratorów być może tu pomóc, bo sam pan przyzna, mamy trzy lata rządów koalicji 15 października i niewiele z tych spraw znalazło swój finał.

Zabetonowanie prokuratury służyło właśnie temu, by spowolnić rozliczenia ludzi, którzy przez osiem lat łamali prawo. Natomiast widzę bardzo duże przyspieszenie w ostatnim czasie. Chociażby w tym tygodniu mamy kolejne zatrzymania byłych menadżerów największego paliwowego koncernu i przedstawienie im zarzutów związanych z działaniem na niekorzyść spółki. W aferze Zondacrypto mamy postawione zarzuty, mamy tymczasowe aresztowania. Na pewno to wszystko działoby się szybciej, gdyby nie prokuratura, jaką zastaliśmy w 2023 roku. Ale krok po kroku te zmiany są dokonywane. Wracają do pracy niezależni prokuratorzy i minister Żurek tę sytuację również naprawia.

Tylko wyborcy powiedzą sobie tak: gdzie ci politycy, którzy - zdaniem ówczesnej opozycji, a dzisiaj koalicji rządzącej = nabroili, gdzie stawiane im zarzuty, gdzie sprawy przed sądem? Nic się w tej kwestii nie dzieje.

W wielu tych sprawach zostały przedstawione zarzuty, w niektórych nawet zapadły już wyroki. Mówię tutaj chociażby o kwestii związanej z Rządową Agencją Rezerw Strategicznych. Natomiast, zawsze tłumaczę, że zastaliśmy państwo, zwłaszcza prokuraturę, w stanie skrajnego upolitycznienia. Dodatkowo w Pałacu Prezydenckim zasiadał najpierw Andrzej Duda, teraz Karol Nawrocki. W związku z czym klasyczną ścieżką legislacyjną nie da się pewnych rzeczy uporządkować, trzeba działać ekstraordynaryjnie. Ale wyjaśniamy te afery, stawiane są zarzuty. Jestem przekonany, że wyborcy również widzą, że wiele rzeczy poszło do przodu, ale, niestety, sprawy nie idą tak szybko, jak zakładaliśmy na samym początku.

List żelazny wydany panu Romanowskiemu to, pana zdaniem, zła decyzja sądu?

Zawsze powstrzymuję się z oceną nieprawomocnych orzeczeń sądowych. Prokuratura zaskarżyła tę decyzję. Natomiast, jeżeli ona by się utrzymała, to oczekuję, że pan Romanowski niezwłocznie wróci do Polski i stanie przed polskim sądem.

eprasa.pl 35b7964dc6



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Borys Budka: Polacy negatywnie oceniają rolę prezydenta w aferze Zondacrypto, blokowanie przez niego pieniędzy z programu SAFE, wetowanie ustaw na szkodę obywateli

A wróci, pana zdaniem?

Nie chce mi się wierzyć, żeby Romanowski, podobnie jak jego pryncypał Zbigniew Ziobro, zdecydował się dobrowolnie stanąć przed sądem. Ci panowie mają zbyt wiele na sumieniu. To są klasyczni tchórze, którzy obawiając się odpowiedzialności karnej, uciekli za granicę, a dzisiaj robią wszystko, żeby do Polski nie wrócić.

Uważa pan, że uda się do wyborów jakieś śledztwa zamknąć, postawić ludzi przed sądem?

Tak. Jestem przekonany, że do wyborów, tak jak zapowiedział minister Żurek, będziemy świadkami złożenia wielu aktów oskarżenia. Proszę zwrócić uwagę, że to jest kwestia przesłuchań czasem setek świadków. To jest kwestia korzystania z opinii biegłych. To są sprawy, które dotyczą wyrządzenia szkód sięgających nawet setek milionów złotych. I dlatego akty oskarżenia muszą być bardzo dobrze przygotowane, żeby nie było sytuacji, kiedy na przykład sąd zwróci się o ich uzupełnienie, albo z jakichś przyczyn formalnych sprawy będą przedłużane.

Jak pan myśli, o czym rozmawiał Władysław Kosiniak-Kamysz z Donaldem Trumpem?

Mogę się tylko domyślać. Ale w dyplomacji liczy się cisza i dyskrecja, więc o takich kwestiach nie rozmawia się publicznie. Z pewnością wicepremier Kosiniak-Kamysz poleciał do Stanów Zjednoczonych z jasnym przekazem od polskiego rządu: zapraszamy serdecznie kolejnych amerykańskich żołnierzy do Polski. Jesteśmy przygotowani na to, by kilka tysięcy amerykańskich wojskowych, ich rodzin, całego personelu pomocniczego znalazło swoje miejsce w naszym kraju. I polski rząd czeka na jak najszybszą decyzję strony amerykańskiej.

Pojawiły się nieoficjalne informacje, że Donald Trump miał namawiać wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, aby ludowcy opuścili koalicję rządzącą i połączyli siły z prawicą. Pan sobie wyobraża sytuację, kiedy przywódca obcego kraju próbuje ingerować w politykę wewnętrzną innego państwa?

Jeszcze kilka lat temu wydawałoby się to niemożliwe. Dzisiaj moja polityczna wyobraźnia jest znacznie szersza, bo wiem, że politycy PiS nie cofną się przed niczym, by odzyskać władzę. Mogliby prosić o pomoc każdego, byleby tylko z powrotem do niej wrócić. I o ile dziś latają do Waszyngtonu, to jutro mogą to samo robić na przykład w Moskwie. Przy braku jakichkolwiek moralnych ograniczeń, jest to możliwe.

Uważa pan, że Jarosław Kaczyński byłby w stanie stworzyć rząd koalicyjny z Grzegorzem Braunem, tak?

Jestem przekonany, że Kaczyński jest w stanie stworzyć rząd z każdym, byleby tylko dorwać się do władzy - czy z Adrianem Zandbergiem, czy z Grzegorzem Braunem, czy z nimi obydwoma. Dla Kaczyńskiego nie ma żadnych granic. Pamiętajmy, jak w 2005 roku oszukał opinię publiczną twierdząc, że jeśli jego brat zostanie prezydentem, to on nie będzie premierem. W tej obietnicy wytrzymał niecały rok, potem został premierem. Dzisiaj Kaczyński mówiący, że nie będzie tworzył rządu z Grzegorzem Braunem, jest dokładnie tak samo prawdomówny jak w 2005 roku.

Myśli pan, że prezydent Karol Nawrocki będzie pomagał prawicy przez ten najbliższy rok?

Do tej pory wszelkie działania prezydenta Nawrockiego mają na celu walkę z legalnie wybranym większościowym rządem i pomoc tej patoprawicy spod znaku PiS-u i Konfederacji w przejęciu władzy w Polsce. Karol Nawrocki nie zachowuje się jak prezydent Rzeczpospolitej, a jak partyjny funkcjonariusz zainstalowany w pałacu przez Kaczyńskiego. Zrobi wszystko, by pomóc swojemu politycznemu przełożonemu.

Zauważył pan, że notowania prezydenta Nawrockiego spadają? Sondaże nie są dla niego ostatnio przychylne. Z czego to wynika, jak pan myśli?

Polacy negatywnie oceniają rolę prezydenta w aferze Zondacrypto, blokowanie przez niego pieniędzy z programu SAFE, wetowanie ustaw na szkodę obywateli. Widzą, że nie dorósł do swojej roli, a Pałac Prezydencki to nie Grand Hotel.

Rząd Donalda Tuska ma podobny problem! Więcej Polaków ocenia go negatywnie niż pozytywnie. Dlaczego? Nie daliście rady?

W przeciwieństwie do prezydenta, zaufanie do szefa rządu gwałtownie wzrosło. Opinia publiczna widzi jego determinację w działaniu na rzecz bezpieczeństwa Polski, skuteczność w walce z drożyzną i świetne wyniki naszej gospodarki. Myślę, że wraz ze wzrostem zaufania do premiera zaobserwujemy wkrótce poprawę notowań rządu.

Są sondaże, moim zdaniem, bardzo ważne i dla prezydenta i dla premiera, które mówią, że Polacy mają już dość wojny między dużym i małym pałacem. Co więcej, uważają, że ta wojna szkodzi bezpieczeństwu kraju. Nie boi się pan, że idąc do wyborów zagłosują na prawicę, żeby mieć święty spokój, żeby nie być już świadkami tych codziennych połajanek?

Wręcz przeciwnie – jestem przekonany, że wyborcy nie chcą za sterami rządu ludzi polskiej patoprawicy. Ich wspólnym mianownikiem jest destrukcja, antyeuropejskość, a hipotetyczny rząd Brauna, Kaczyńskiego i Mentzena skończyłby się dla Polski wyjściem z Unii Europejskiej.

Skoro już przy wyborach jesteśmy: ile list wyborczych koalicji 15 października byłoby optymalnych? Dwie? Jedna?

Zdecyduje o tym pragmatyka wyborcza. Wiem jedno: Koalicja Obywatelska ma najszerszą z możliwych zdolność koalicyjną. Pokazaliśmy to jako Platforma Obywatelska już w wyborach w 2023 roku. Jesteśmy otwarci na wszelką formułę współpracy. Ale czy będzie to jedna, czy dwie listy wyborcze, myślę, że wiosną zadecydują o tym liderzy poszczególnych ugrupowań.

REKLAMA 0311461412



eprasa.pl 35b7964dc6

CYWILIZACJA

Nagrody Nobla. Stały punkt odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie

Nagrody Nobla są nudne. Coroczna jazda obowiązkowa, która wzbudza tyle emocji co lektury szkolne wśród uczniów. Ale mimo to każdy w październiku sprawdza, kto wygrał tym razem. A osoby wyróżnione noblowskim medalem stają się w naturalny sposób autorytetami w skali globalnej. I już za to Nagrody Nobla trzeba docenić. Stały się najbardziej efektywnym sposobem kreowania merytokratycznej arystokracji współczesnego świata

Agaton Koziński

„Szósty października 2023 roku to jeden z najwspanialszych dni mojego życia. Przyniósł mi radość, lecz także złożył na moich barkach wielką odpowiedzialność. Niemal od razu zaczęłam też odczuwać narastający gniew reżimu. Wiedziałam, że restrykcje i presja będą teraz jeszcze większe" – pisała Narges Mohammadi, laureatka pokojowego Nobla z 2023 r.

Ta irańska dziennikarka i aktywistka w swojej autobiografii, którą w Polsce właśnie wydał Znak, ze szczegółami opisała moment, kiedy dowiedziała się o wyróżnieniu. Znajdowała się wtedy w zakładzie karnym Ewin w Teheranie. Ciężkie więzienie. Przeznaczone przede wszystkim dla politycznych dysydentów, w którym regularnie władze sięgają po tortury i wykonują egzekucje. Doniesienia o nagrodzie wywołały wśród jej więziennych współtowarzyszy eksplozję radości połączoną ze wspólnymi śpiewami, tańcami i skandowaniem politycznych haseł. Co ciekawe, w tych wspomnieniach nie ma nic o zachowaniu strażników, jakby ci nie zauważyli tego niezwykłego poruszenia na kobiecym oddziale więzienia. Reakcja przyszła dopiero w kolejnych tygodniach, gdy – jak wspominała Mohammadi – zaczęto jej mocno utrudniać życie w więzieniu.

„Niektórzy uważają, że Nagroda Nobla czyni człowieka nietykalnym. Ja nigdy nie żywiłem takich złudzeń" – mówił nigeryjski dramaturg Wole Soyinka, który dostał literackiego Nobla w 1986 r. On sam spędził wiele lat w nigeryjskim więzieniu, choć akurat po otrzymaniu Nobla problemów z władzami już nie miał. Ale to nie jest reguła. Cytowana przed chwilą Narges Mohammadi została zatrzymana w grudniu 2025 r., a więc trzy lata po wyróżnieniu. Gdy wybuchły w Iranie protesty przeciwko reżimowi ajatollahów, natychmiast aresztowano ją i przetrzymywano w ciężkich warunkach



FOT. LARS ASTROM/NOBELPRIZE.ORG

Wisława Szymborska, laureatka literackiego Nobla w 1996 r., na bankiecie wieńczącym noblowską galę

(w więzieniu przeszła m.in. atak serca).

Nobel nie dał także immunitetu Alesiowi Bialackiemu. Nagrodę otrzymał w 2022 r., a w marcu 2023 r. sąd w Mińsku skazał go na 10 lat kolonii karnej. Chiński dysydent i pisarz Liu Xiaobo dostał literackiego Nobla w 2010 r., ale mimo to zmarł w więzieniu siedem lat później. Podobny los spotkał niemieckiego pacyfistę Carla von Ossietzky'ego – mimo wyróżnienia otrzymanego w 1935 r., hitlerowskie władze w Berlinie trzymały go za kratami, aż zmarł w 1938 r. Widać, że nie dla wszystkich „najwspanialszy dzień życia" okazywał się początkiem czegoś pięknego.

Bez dewaluacji

Tych kilka wymienionych przed chwilą przykładów pokazuje rolę Nagrody Nobla. Wyróżnienia, które stanowi fenomen sam w sobie. Jest przyznawane od 1901 r., otrzymało ją do tej poru około tysiąca osób - i do dziś nie uległo dewaluacji. Żyjemy w czasach postępującej relatywizacji rzeczywistości, subiektywizacji systemów wartości, ale ufundowana przez Alfreda Nobla skutecznie wymyka się współczesnym trendom. Cały czas udaje jej się zachować powagę, wiarygodność, prestiż, szacunek. Choć przecież nie ominęły jej skandale (także seksualne), to żaden z nich nie okazał się na tyle duży, by podmyć tę skałę, na której stoi wzniesiona przez Nobla latarnia. To właśnie dlatego co roku tydzień noblowski skupia na sobie uwagę całego świata.

Powiedzmy sobie szczerze: dla zdecydowanej większości z nas nazwiska osób, które w danym roku otrzymują tę nagrodę, nic nie mówią. Poza wąską grupą specjalistów z danej branży nazwiska osób otrzymujących Nobla czy to z chemii, czy z fizyki, czy nawet literatury nie mówią praktycznie nic. Niewiele lepiej jest z najbardziej popularną nagrodą. Nawet pokojowy Nobel rzadko kiedy wzbudza większe poruszenie. Gdyby otrzymał go Donald Trump (bardzo chce), pewnie wywołałoby to globalną, zbiorową dyskusję. Ale jeśli dostanie organizacja Caritas (jeden z tegorocznych faworytów), to przez świat przejdzie przez chwilę szmer ogólnego podziwu, a potem każdy uda się do swoich zajęć. Drugiej refleksji na ten temat nie będzie.

I to jest część opowieści o Noblach. One są w dużej części nijakie – w tym sensie, że nie uruchamiają (czy może uruchamiają bardzo rzadko) zbiorowych emocji. Napiszmy to otwarcie: są po prostu nudne. Nie mają nic wspólnego z estetyką internetowych shortów, postów na Tik-Toku czy rolek na Instagramie, które dziś rządzą masową wyobraźnią. One są wręcz na antypodach tego blasku i blichtru przykuwających uwagę ludzi na co dzień. Nikt o nich nie rozmawia w windzie, nie wrzuca o nich ekscytujących postów na media społecznościowe, nie dzwoni do przyjaciół natychmiast po tym, jak usłyszy nazwiska zwycięzców, by z nimi o tym pogadać.

Jest odwrotnie. Tymi nagrodami żyją jedynie poszczególne branże, gałęzie nauki. Są one bardzo ważne dla tych 1300 osób, które co roku biorą udział w bankiecie noblowskim wydawanym w grudniu w sztokholmskim ratuszu. I to właściwie wszystko. Jak w ósmej klasie podstawówki trzeba przeczytać „Pana Tadeusza", przebrnąć przez „Nad Niemnem" w liceum, tak co roku trzeba zwrócić uwagę na laureatów wskazanych przez szwedzkich i norweskich akademików. Trochę to przypomina wizytę u dentysty – nikt tego nie lubi, ale wie, że tak trzeba. Jazda obowiązkowa w corocznym cyklu życia.

Noblowski paradoks

Tylko skoro Noble są nudne i to jedynie „jazda obowiązkowa", to czemu poświęcamy na nie tyle czasu? Bo dla laureatów tej nagrody bardzo często życie dzieli się na „przed" i „po" Noblu. „Prestiż Nagrody Nobla jest tak wielki, że nagle zyskuje się nowy status" – przyznał argentyński biochemik Luis Federico Leloir, laureat z 1970 r. „Zdziwiłbyś się, ile drzwi otwiera Nagroda Nobla" – mówił amerykański pisarz Elie Wiesel, który otrzymał pokojowego Nobla w 1986 r. „Nagroda Nobla daje możliwość publicznego zajmowania stanowiska" – taki komentarz wygłosił amerykański fizyk Philip Warren Anderson, który swoje wyróżnienie zgarnął w 1977 r.

Po otrzymaniu Nobla życie laureatów zmienia się w sposób zdecydowany. „Dla większości ludzi prawdopodobnie najważniejszą kwestią związaną z Nagrodą Nobla jest to, czy uda im się zdobyć upragnione miejsce parkingowe na terenie kampusu" – żartował astrofizyk Saul Perlmutter wyróżniony w 2011 r. Możliwość zaparkowania auta blisko pracy to duża korzyść, ale jedna z wielu. Sama nagroda jest dość pokaźna, dla dużej części laureatów – zwłaszcza wywodzących się spoza świata zachodniego - ten milion euro oznacza radykalną poprawę jakości życia.

Ale przede wszystkim życie się zmienia z powodu prestiżu, jaki roztacza Nobel wobec swoich laureatów. Zdobycie tej nagrody często okazywało się przepustką do najwyższych splendorów, pozwalało sięgać po władzę. Prezydentami swoich krajów zostawali tacy nobliści, jak Nelson Mandela (RPA), Lech Wałęsa (Polska), José Ramos Horta (Timor Wschodni). Kanadyjczyk Lester Bowles Pearson otrzymał Nobla w 1957 r. za działania na rzecz zakończenia kryzysu sueskiego, a w 1963 r. został szefem rządu. Aung San Suu Kyi dostała pokojowego Nobla w 1991 r. za walkę z juntą wojskową rządzącą Birmą (Mjanma), a w 2016 r. przejęła polityczną władzę w kraju. Dla każdej z tych osób medal noblowski stawał się paszportem do władzy. Dla mieszkańców danego kraju fakt, że ich współobywatel otrzymał tak

eprasa.pl 35b7964dc6



FOT. NOBEL PRIZE OUTREACH. PHOTO: NANAKA ADACHI

Gala wręczania Nagród Nobla w 2025 r.

ważne wyróżnienie stawał się rękojmią ich wiarygodności i uczciwości. Jeden z wymiarów Nobla.

Wymiarów jest więcej, często bardzo prozaicznych. Na przykład nobliści stają się dużą atrakcją dla wszelkiego rodzaju konferencji, gdzie występują w kategoriach mówców honorowych. Oczywiście, nie za darmo. Na przykład Turek Orhan Pamuk, laureat literackiego Nobla z 2006 r. za jedno wystąpienie otrzymuje ok. 25 tys. dolarów. Stawki Lecha Wałęsy czy ekonomisty Josepha Stiglitza są jeszcze wyższe (ceny za danymi opublikowanymi na stronie agencji Celebrity Speakers). Żaden z nich do takich pieniędzy by się nawet nie zbliżył, gdyby nie wyróżnienie akademików ze Sztokholmu i Oslo. A przy okazji ta sytuacja pokazuje, jaki realny wymiar ma ta „nudna" nagroda.

Choroba Nobla

„Zostaniecie zasypani prośbami o wypowiedzi na najróżniejsze tematy, o podpisywanie listów i petycji oraz ogólnie o użyczenie swojego nazwiska na rzecz różnych spraw, niektórych szlachetnych, innych mniej" – ostrzegał przyszłych noblistów w artykule napisanym w 2013 r. brytyjski biochemik Paul Nurse, który sam otrzymał nagrodę w 2001 r. A przy okazji dotknął innej delikatnej kwestii związanej z tą nagrodą: ego jej laureatów.

Prestiż Nagrody Nobla jest tak wielki, że nagle zyskuje się nowy status

LUIS FEDERICO LELOIR
biochemik, noblista

„Gdybym potrafił to wyjaśnić zwykłemu człowiekowi, nie zasługiwałbym na Nagrodę Nobla" mówi amerykański fizyk Richard Feynman, wyróżniony w 1965 r. Ten fizyk w swojej branży miał opinię niemal gwiazdy show-biznesu ze względu na niekonwencjonalne zachowania, m.in. fascynował kulturą Indian i uczył się od nich grać na bębnach.

Inni nobliści szli dużo dalej. Linus Pauling, który otrzymał nagrodę z chemii (1954) i pokojową (1962), później skręcił w bardzo dziwną stronę. Wykorzystywał swój autorytet m.in. do przekonywania, że choroby nowotworowe można leczyć witaminą C. Mocno angażował się w ruch antywojenny. Wynalazca tranzystora William Shockley, wyróżniony w 1956 r. fizycznym Noblem, później zaangażował się w promowanie eugeniki i promowania rasistowskich poglądów. Z kolei brytyjski fizyk Brian Josephson, laureat Nobla z 1973 r. za przełom w badaniach nad nadprzewodnictwem, pod koniec życia skupił się na parapsychologii.

Te przykłady są tylko kilkoma pokazującymi na czym polega zjawisko nazywane „chorobą Nobla". Ten termin spopularyzował amerykański onkolog David Gorski określając w ten sposób noblistów, którzy otrzymali swoje nagrody i później swój autorytet i sławę wykorzystywali do głoszenia poglądów daleko wychodzących poza ich kompetencje branżowe. Austriacki pisarz Peter Handke (Nobel w 2019 r.) publicznie negował ludobójstwo w Srebrenicy. Norweski pisarz Knut Hamsun, nagrodzony przez akademików w 1920 r., później otwarcie wspierał nazizm, a swój medal noblowski przekazał Josephowi Goebbelsowi. Najlepszy dowód, na jakie manowce może zwieźć ego napompowane do granic możliwości wręczeniem prestiżowego odznaczenia.

Nie dotyczy to wszystkich. Na przykład Wisława Szymborska po otrzymaniu Nobla w 1996 r. trzymała się w dużej mierze z dala od polskiego życia publicznego - choć przecież w tak rozpolitykowanym kraju jak nasz na pewno jej głos byłby dobrze słyszany. Ona jednak nie uległa pokusie, nie wpadła w sidła zdiagnozowanego przez Davida Gorskiego zaburzenia. Warto to podkreślić.

Ale też warto podkreślić samo znaczenia Nobli. Istnieją 125 lat - i mimo całego morza kontrowersji, jakie wyrosły przez ten okres wokół tej nagrody, zdołały zachować swój prestiż i powagę. Od dawna są stałym punktem odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie. I choćby z tego powodu warto je doceniać.

eprasa.pl 35b7964dc6

NAGRODA NOBLA

Nobel z fizyki za podglądanie kosmosu spod lodu. Co mogą nam powiedzieć neutrina

Francis Halzen otrzymał Nobla z fizyki za wkład w powstanie obserwatorium IceCube i odkrycie wysokoenergetycznych neutrin z kosmosu. - To są badania wiedzione czystą ciekawością – mówi dr Grzegorz Łach, fizyk z Uniwersytetu Warszawskiego i wyjaśnia, co z tych badań wynika dla nas

Anita Czupryn

Jak najprościej wytłumaczyć, za co Francis Halzen dostał Nagrodę Nobla?

Wytłumaczę to za pomocą książki Stanisława Lema „Głos Pana". Lem napisał, że zostaje odkryty sygnał, który jest właśnie tytułowym Głosem Pana. Nie jest to sygnał radiowy ani świetlny, tylko sygnał niesiony przez neutrina. Przez długi czas nie mieliśmy aparatury, która potrafiłaby wykrywać takie sygnały z odległego kosmosu. Można więc powiedzieć, że tegoroczna Nagroda Nobla jest za skonstruowanie urządzenia, które pozwala je rejestrować, i za odkrycie wysokoenergetycznych neutrin pochodzących ze źródeł astrofizycznych.

Użył pan słowa „neutrina". Co to są za cząstki?

To jest bardzo ciekawa historia. Zacznę od tego, że dawno temu Becquerel odkrył promieniotwórczość, a Maria Skłodowska-Curie ją badała. Wiemy, że część substancji rozpada się promieniotwórczo. Część tych rozpadów to tak zwane rozpady beta, w których neutron zamienia się w proton albo proton w neutron. Przy okazji emitowany jest elektron albo antyelektron. To już wiedzieliśmy. Kiedy jednak zaczęto dokładnie badać te rozpady, okazało się, że energia emitowanego elektronu raz jest większa, a raz mniejsza. Można ją zmierzyć, mierząc prędkość, z jaką elektron się porusza. To było bardzo dziwne. Układ przed rozpadem ma jakąś energię, po rozpadzie również ma określoną energię, więc wydawało się, że energia elektronu powinna być zawsze taka sama. Tymczasem raz była większa, raz mniejsza. Powstały różne hipotezy. Wolfgang Pauli zaproponował, że oprócz elektronu emitowana jest jeszcze jedna cząstka. Tyle że oddziałuje tak słabo, iż jej nie widzimy. Żeby pozostawała niewidoczna, musi w szczególności być neutralna, czyli obojętna elektrycznie. Ostatecznie dla tej cząstki przyjęła się zaproponowana przez Enrico Fermiego włoska nazwa „neutrino", czyli mały neutron, neutroniątko. Stąd nazwa.

I teraz, kiedy rozmawiamy, te neutrina właśnie przez nas przelatują?

Tak. Bardzo, bardzo słabo oddziałują z materią. Szybko liczę w pamięci: przez nasze ciała przelatuje w każdej sekundzie sto bilionów neutrin. Jest ich ogromnie dużo, ale nic nam nie robią. Można powiedzieć, że w ogóle nas nie zauważają. Ba, one nie tylko przez nas przelatują. Przelatują przez Ziemię i jej też praktycznie nie zauważają. My i Ziemia jesteśmy dla nich niemal przezroczyści. Jednak raz na jakiś czas któreś neutrino w coś uderzy. Bardzo, bardzo rzadko. Może wtedy wywołać reakcję jądrową: jedno jądro zamieni się w inne. I to można wykryć.

Na tej podstawie wiemy, że te cząstki w ogóle istnieją?

Tak. Przez pewien czas było ryzyko, że pozostanie to hipotezą, której nie da się sprawdzić: wprowadzamy coś, co ma istnieć, ale nie można tego wykryć. W nauce bardzo nie lubimy takich nieweryfikowalnych rzeczy. Pojawiały się więc propozycje, jak wykryć te neutrina. Już dawno temu skonstruowano detektor, w którym je zarejestrowano. Za to również przyznano Nagrodę Nobla.

Czym tamto urządzenie różniło się od tego, które budował Francis Halzen?

Przede wszystkim skalą. W czasach tych pierwszych detektorów wykrycie neutrina było powodem do świętowania, bo to bardzo rzadkie zjawisko. Chcieliśmy jednak rejestrować ich więcej, więc powstawały coraz większe detektory. Nie mamy innej możliwości, jak umieścić w nich więcej materiału, z którym neutrina będą mogły się zderzyć. Jeżeli detektor ma być duży, materiał, który go wypełnia, musi być tani. Niekoniecznie będzie to taki, który najbardziej nam się podoba. Moglibyśmy woleć coś innego, ale potrzebujemy czegoś, czego jest bardzo dużo i co nie kosztuje zbyt wiele. Stąd pomysł, żeby wykorzystać wodę. Tyle że woda, której musimy użyć, wcale nie będzie taka tania, bo musi być niesamowicie czysta. Trzeba ją bardzo dokładnie oczyścić. W szczególności pozbyć się izotopów promieniotwórczych, których rozpady moglibyśmy interpretować jako sygnał od neutrin. To trudne zadanie: potrzebujemy bardzo dużo bardzo czystej wody. Co robimy potem? Przelatujące przez nią neutrino raz na jakiś czas oddziałuje z jej materią, na przykład z jądrem wodoru albo tlenu. Wskutek tego powstaje cząstka. Może to być elektron, mogą też powstać inne cząstki, ale przyjmijmy, że jest to elektron. Mamy więc poruszający się elektron, który ma ładunek elektryczny. Teraz trzeba go wykryć. To również nie jest łatwe, ale staje się łatwiejsze, jeżeli porusza się on z prędkością większą od prędkości światła w wodzie. Można pomyśleć: zaraz, zaraz, przecież nic nie może poruszać się szybciej od światła.

No właśnie!

Rzeczywiście, nic nie może poruszać się szybciej niż światło w próżni. Ale światło w wodzie porusza się mniej więcej o 30 procent wolniej niż w próżni. Elektron może więc poruszać się szybciej niż światło w wodzie. Pojawia się wtedy efekt podobny do tego, który obserwujemy, gdy coś porusza się w powietrzu szybciej niż dźwięk. Słyszymy tak zwany grom dźwiękowy, na przykład przy przelocie samolotu naddźwiękowego albo pocisku. Elektron poruszający się w wodzie szybciej niż światło w tym ośrodku wytwarza taki odpowiednik gromu dźwiękowego: emituje światło układające się w stożek. Rejestrują je bardzo czułe detektory. To już są jednak detektory światła, czyli coś, co bardzo dobrze potrafimy konstruować. Takie urządzenia budowano przez wiele lat. Jedne z największych powstały w Japonii, w dawnej kopalni Kamioka. Detektor nazywał się Kamiokande. Za badania prowadzone z jego pomocą też przyznano Nagrodę Nobla. Te detektory umożliwiły na przykład wykonanie neutrinowego zdjęcia Słońca z wnętrza kopalni, kilometr pod ziemią. W Słońcu zachodzą reakcje jądrowe i płynie z niego strumień neutrin. Przelatują przez Ziemię bez problemu, a raz na jakiś czas któreś oddziałuje z materią w zbiorniku z wodą w kopalni. Powstaje elektron poruszający się szybciej niż światło w wodzie, a emitowane przez niego światło rejestruje detektor. Jest ono bardzo charakterystyczne, więc można je odróżnić od innych ewentualnych źródeł światła.

Co zatem zrobili Halzen i jego zespół?

Zbudowali IceCube, czyli detektor wielokrotnie większy od wcześniejszych. Nie konstruowali jednak sami zbiornika z wodą. Wykorzystali miejsce, w którym jest jej bardzo dużo i jest bardzo czysta, tyle że występuje w postaci lodu. To lądolód Antarktydy. Ich urządzenie składa się z bardzo wielu detektorów światła umieszczonych głęboko pod powierzchnią, na głębokości mniej więcej od półtora do dwóch i pół kilometra. Można sobie wyobrazić kostkę lodu o wymiarach kilometr na kilometr na kilometr, w której rozmieszczono czujniki. Jeżeli przelatujące neutrino oddziałuje z materią tego lodu, powstają cząstki naładowane, na przykład elektron, poruszające się szybciej niż światło w lodzie. Emitowane przez nie światło wykrywają umieszczone tam czujniki. Jest ich ponad pięć tysięcy. Analizując światło zarejestrowane przez poszczególne czujniki, można zauważyć pewien wzór. Na tej podstawie możemy ustalić, że źródłem zdarzenia było neutrino, określić rodzaj oddziaływania, oszacować energię neutrina i kierunek, z którego przyleciało.

Czego możemy się dowiedzieć z jednej takiej cząstki, która dotarła do nas z odległego kosmosu?

Z jednej cząstki nie dowiemy się zbyt wiele. Dowiemy się z grubsza, skąd przyleciała i jaką miała energię. Żeby powiedzieć więcej, potrzebujemy większej statystyki, czyli musimy zebrać więcej takich zdarzeń. I to właśnie tam się dzieje. Jak mówiłem, dawniej pojedyncza rejestracja neutrina była powodem do świętowania. Kamiokande rejestrował ich już dużo. Można było wykonać neutrinowe zdjęcie Słońca. Jednak do regularnych obserwacji innych obiektów astronomicznych wciąż było ich za mało. Słońce jest blisko. Gdybyśmy chcieli obserwować inne gwiazdy albo gwałtowne zjawiska w naszej Galaktyce czy poza nią, potrzebowalibyśmy większej czułości. Wybuch supernowej może być źródłem światła widzialnego, podczerwieni, promieniowania rentgenowskiego, fal radiowych, a także neutrin. Gwałtowne zjawiska mogą również wytwarzać fale grawitacyjne, za których wykrycie kilka lat temu przyznano Nobla. Przed IceCube, poza neutrinami ze Słońca i jednym wyjątkowym zdarzeniem, czyli supernową z 1987 roku, rejestrowaliśmy za mało neutrin z kosmicznych źródeł, żeby prowadzić takie obserwacje. Być może zarejestrowaliśmy pojedyncze neutrino, ale nie mieliśmy pewności, czy rzeczywiście pochodziło z odległego obiektu astronomicznego, czy powstało w naszej atmosferze, kiedy wpadła w nią jakaś cząstka promieniowania kosmicznego.

Czy mógłby pan podać konkretny przykład tego, jakie zagadki Wszechświata możemy badać dzięki temu urządzeniu?

Jednym z problemów, które wciąż pozostają, jest tak zwana ciemna materia. Wydaje nam się, że we Wszechświecie jest więcej materii, niż faktycznie widzimy. Kiedy patrzymy na to, jak poruszają się ciała w kosmosie, na przykład jak galaktyki obracają się wokół swojego środka, okazuje się, że do wyjaśnienia tego ruchu potrzeba więcej materii, niż obserwujemy. Pytanie: co to za materia? Zawsze jest też możliwość, że równania, których używamy, są po prostu błędne. Wciąż jednak roboczą hipotezą jest istnienie materii, której nie obserwujemy.

Nie obserwujemy, bo nie mamy odpowiednich narzędzi?

Przez długi czas mogliśmy obserwować w kosmosie przede wszystkim to, co świeci, albo to, co pochłania światło wyemitowane przez obiekt położony dalej. Od pewnego czasu obserwujemy również fale grawitacyjne, a to pozwala uzyskiwać informacje o obiektach, które nie świecą. Rozważano też, czy ciemną materią nie mogłyby być neutrina. To

eprasa.pl 35b7964dc6



FOT. PAP/EPA

Francis Halzen otrzymał nagrodę za „kluczowy wkład w powstanie detektora IceCube Neutrino Observatory i odkrycie neutrin wysokich energii pochodzenia astrofizycznego"

naturalny kandydat: mamy coś, co bardzo słabo oddziałuje. Kiedy jednak sprawdzimy, ile jest tych neutrin i jaki jest ich udział w bilansie materii, okazuje się, że nie wystarczają. Troszeczkę się do tego bilansu dokładają, ale zdecydowanie za mało, żeby wytłumaczyć to, co widzimy. Pojawiła się więc hipoteza, że istnieje nowy rodzaj neutrin, tak zwane neutrina sterylne. Zwykłe neutrina oddziałują z materią bardzo słabo, ale jednak oddziałują. Sterylne nie uczestniczyłyby w tych oddziaływaniach słabych; mogłyby natomiast oddziaływać grawitacyjnie. Dla fizyki ciekawą informacją z tego detektora, za który przyznano Nagrodę Nobla, jest bardzo mocne ograniczenie możliwości istnienia takich neutrin sterylnych. Czyli hipoteza, która wydawała się sensownym wyjaśnieniem tego, czym jest ciemna materia, raczej jest fałszywa.

Co w tej historii badań, które zdobyły Nobla było najtrudniejsze: wymyślenie sposobu wykrywania neutrin, zbudowanie obserwatorium czy udowodnienie, skąd pochodzą?

Zawsze mam wątpliwości w takich sytuacjach, kiedy nagrodę dostaje szef, czyli pojedyncza osoba kierująca bardzo dużym projektem. Tutaj właściwie wszystkie elementy składowe były znane. Z Kamiokande, Super-Kamiokande i wcześniejszych detektorów wiedzieliśmy, że taki sposób pomiaru działa: mamy dużo wody otoczonej bardzo czułymi detektorami światła i możemy w ten sposób wykrywać neutrina. Powiedziałbym więc, że było to w dużej części osiągnięcie organizacyjne. Po prostu wiadomo było, że to zadziała. Tutaj nawet nie nazywałbym tego odkryciem. Skonstruowano coś, co można określić jako nowy teleskop. Jest na tyle czuły, że pozwala prowadzić obserwacje astronomiczne wysokoenergetycznych neutrin ze źródeł znacznie odleglejszych niż Słońce. Tak jak prawdziwy teleskop.

Jakim naukowcem jest Halzen? I co spowodowało, że to on doprowadził do tego przełomu?

Stanął na czele bardzo dużego projektu doświadczalnego. W przypadku takich przedsięwzięć szef jest również organizatorem i menedżerem projektu, w którym pracuje całe mnóstwo teoretyków, eksperymentatorów, inżynierów i programistów.

Dlaczego więc dostał Nobla sam? Nie można było przyznać nagrody całemu zespołowi?

Nie można, bo zgodnie z zasadami naukowego Nobla nagrodę mogą otrzymać najwyżej trzy osoby. Można oczywiście mieć wątpliwości, czy nie byłoby dobrze przyznać tych dwóch dodatkowych miejsc przedstawicielom innych eksperymentów wykrywających neutrina. Są one mniejsze niż IceCube, ale mają inne zalety. IceCube wykrywa tylko neutrina o bardzo wysokich energiach. Na inne neutrina, można powiedzieć, jest ślepy. Zarówno astronomowie, jak i fizycy chcieliby wykrywać neutrina w całym zakresie energii, a nie tylko te wysokoenergetyczne. Skonstruowanie równie dużego detektora neutrin o niższych energiach jest niemożliwe. Są mniejsze detektory, które pozwalają dużo lepiej zrozumieć zachowanie neutrin i własności ich różnych typów. Kiedyś myśleliśmy, że neutrina nie mają masy. Teraz wiemy, że mają, tylko bardzo, bardzo małą. W poznawaniu tych cząstek jest duży postęp. Istnieje mnóstwo ciekawych eksperymentów, w których wykrywamy neutrina pochodzące z reaktorów jądrowych na Ziemi. Na przykład mierzymy ich strumień w różnych odległościach od reaktora. Zaletą jest to, że możemy sterować liczbą wysyłanych neutrin, zmieniając moc reaktora. Nie możemy tego zrobić ze źródłami naturalnymi, ze Słońcem czy promieniowaniem kosmicznym. To także ciekawe eksperymenty. Dlatego trochę mnie dziwi, że nagroda nie była szersza.

Czyli Pana ten wybór zaskoczył? Jakiego Nobla spodziewali się fizycy?

Widziałem na „giełdach noblowskich", że Halzen był typowany. Nie był jednak moim faworytem. Gdyby rozmawiała pani teraz z kimś, kto zajmuje się fizyką neutrin, przypuszczalnie byłby zadowolony. Podejrzewam jednak, że mogłoby mu też towarzyszyć poczucie niedosytu: ta nagroda mogła być trochę szersza. Zwłaszcza że Nobla często dostają wspólnie osoby zajmujące się dziedzinami, które nie są aż tak blisko ze sobą związane.

Co te badania zmienią w naszym życiu?

Bezpośrednio powiedziałbym, że nie zmienią nic. To są badania wiedzione czystą ciekawością. Doświadczenie z przeszłości pokazuje jednak, że wszystkie takie duże eksperymenty naukowe zawsze prowadzą również do powstawania nowych technologii i osiągnięć technicznych. Często na bardzo wczesnym etapie nie opłaca się w nie inwestować ani biznesowi, ani nawet ludziom prowadzącym badania stosowane. Dlaczego warto wydawać pieniądze na badanie cząstek z kosmosu, skoro na Ziemi mamy tyle pilnych problemów? To prawda. Wielu kolegów i koleżanek w nauce obrusza się na takie pytania. Ja uważam, że to pytanie jest jak najbardziej zasadne. Opowiem historię z mojego podwórka. Zajmowałem się bardzo dokładnymi obliczeniami dla małych atomów i cząsteczek. Byłem tutaj czystym teoretykiem, natomiast wyniki obliczeń moich i innych teoretyków sprawdzały grupy doświadczalne. Czołowe grupy doświadczalne w tej dziedzinie są w Europie. Jest bardzo dobra grupa w Monachium, bardzo dobra w Amsterdamie i bardzo dobra w Zurychu. Są też dobre grupy amerykańskie i chińskie, ale pozostają za nimi. Na Wolnym Uniwersytecie w Amsterdamie często rozmawiałem ze studentami i doktorantami prowadzącymi te badania o tym, co będą robili po obronie doktoratu. Większość mówiła, że pójdzie pracować do firmy, której nazwa wtedy nic mi nie mówiła. Dziś mam wrażenie, że mówią o niej wszyscy. Chodziło o ASML, producenta urządzeń do litografii wykorzystywanych przy produkcji układów scalonych. To firma, która współtworzy przewagę technologiczną Europy, a także Stanów Zjednoczonych, nad na przykład Chinami. Nie mogłaby istnieć bez ludzi, którzy zdobyli wykształcenie, prowadząc badania wiedzione czystą ciekawością. Finansujemy więc badania naukowe dlatego, że pozwalają tworzyć zasób wiedzy i umiejętności, który potem procentuje w całej gospodarce. Podobne zjawisko widzę również w Polsce, w wielu firmach zajmujących się zaawansowanymi technologiami. Często tworzą je naukowcy, moi koledzy i koleżanki, którzy w pewnym momencie odkrywają, że to, co robią, mogą zastosować z pożytkiem dla społeczeństwa, dla siebie i dla inwestorów. I to robią. Mogą jednak to zrobić dzięki umiejętnościom zdobytym wcześniej, podczas badań podstawowych. Ktoś mógłby powiedzieć: dobrze, ale może niech finansują to firmy. Doświadczenie pokazuje jednak, że kraje, które dużo inwestowały w badania naukowe, nawet bez nacisku na ich krótkoterminową przydatność dla gospodarki, później po prostu szybciej się rozwijały.

Jaką wielką zagadkę możemy dzięki tym badaniom rozwiązać? Czego wciąż nie wiemy?

W przypadku takich nowych narzędzi najciekawsza jest dla mnie nadzieja na odkrycie czegoś, o czym dotąd w ogóle nie pomyśleliśmy. Czasami się ona spełnia. W przeszłości zdarzało się to bardzo często. Pozostańmy przy astronomii. Kiedy budowano nowy, większy teleskop albo teleskop obserwujący w niewidzialnym dla nas zakresie promieniowania, pierwsze teleskopy podczerwone, ultrafioletowe, rentgenowskie czy pierwsze radioteleskopy, to prowadziło to do odkryć. Część była oczekiwana, ale części nikt nie przewidywał. Czasami jednak takie nadzieje zawodzą. Kiedy powstawał Wielki Zderzacz Hadronów w CERN, jednym z powodów jego budowy było odkrycie tak zwanej cząstki Higgsa. Została odkryta, a później przyznano Nobla za teorię wyjaśniającą mechanizm związany z jej istnieniem. Wszyscy jednak mieli nadzieję, że oprócz cząstki Higgsa odkryjemy coś jeszcze, coś wykraczającego poza ten cel. Niestety, mówię z bólem serca, że akurat ta nadzieja się nie spełniła. Oczywiście Wielki Zderzacz Hadronów dostarczył ciekawych danych. Pozwoliły upewnić się, że dobrze rozumiemy to, co dzieje się w świecie cząstek elementarnych. Nie spełniły się jednak nadzieje na odkrycie czegoś zupełnie nowego, wykraczającego poza obecny opis tych cząstek. Tutaj najciekawszych informacji spodziewam się po połączeniu różnych obserwacji. Czasami mówi się o astronomii wieloaspektowej: jednocześnie obserwujemy fale elektromagnetyczne – światło, promieniowanie rentgenowskie, fale radiowe – fale grawitacyjne i neutrina. Analizowanie wszystkich tych danych razem może doprowadzić do odkrycia czegoś, czego dotąd nie podejrzewaliśmy. Być może czegoś, co widzieliśmy w jednym z tych zakresów, ale nie potrafiliśmy zinterpretować. Już puszczając wodze fantazji: może wreszcie zrozumiemy, czym jest ciemna materia? A może okaże się, że jej nie ma i po prostu równania, których używamy, są błędne? Największą nadzieję mam jednak na odkrycie czegoś, czego dziś nikt nie podejrzewa.

eprasa.pl 35b7964dc6

LITERACKI NOBEL



FOT. PAP/EPA

Choć Anna Patrycja Carson pierwsze wiersze opublikowała już w latach 80., jej debiutancki tom ukazał się dopiero w 1995 r.

Literacki Nobel dla poetki Anny Patrycji Carson

Sława najlepszej poetki na świecie, a przy okazji 1,2 mln dolarów, powędrują w tym roku do 76-letniej poetki, tłumaczki i wykładowczyni

Mariusz Grabowski

Akademia Szwedzka napisała w uzasadnieniu swego werdyktu, że wyróżniła Annę Carson za „odważną i nowatorską twórczość, która w pełnym inwencji dialogu z tradycją klasyczną stworzyła nowe formy dla literatury współczesnej".

Greka i seks

Na literackim rynku Kanady Anna Carson zajmuje od lat dość ważną pozycję. W jej oficjalnym CV z Uniwersytetu Michigan, gdzie wykładała starożytną grekę można przeczytać, że jest „Canadian poet, essayist, translator, classicist, and professor".

Ale znana jest także poza kręgiem pisarzy i wykładowców: w popularnym kilkanaście lat temu serialu amerykańskim „Słowo na L", przedstawiającym życie grupy lesbijek i biseksualistek oraz ich przyjaciół, i kochanków z Los Angeles, bohaterowie cytują fragmenty jej wierszy. Skądinąd ta anegdota dość precyzyjnie pokazuje środowiska, które literacko interesują poetkę. W swej twórczości nie tylko zaciera granice pomiędzy starożytnością a współczesnością, modernizmem i postmodernizmem, Kanadyjczykami i Amerykanami, ale odkrywa też tajemnice. I to najróżniejszego rodzaju: filozoficzne, światopoglądowe, polityczne, a także seksualne.

W 2000 r., po wydaniu „Dekreacji" zarzucono Carson, że celowo balansuje na granicy skandalu, choćby wtedy gdy porusza kwestię seksualności kolegów po piórze. Broniła się argumentem, że intymność u zajmujących się zawodowo pisaniem „nie istnieje".

Z Kanady na Islandię

„Annę Carson zawsze interesowały takie rodzaje doświadczenia, których nie da się ująć wprost, tylko trzeba zbliżać się do nich ukosem" - napisał „The New Yorker" w 2010 r. po tym, jak zdobyła nagrodę PEN Clubu za tłumaczenie „Orestei" Ajschylosa.

„Ukosem" dobrze pasuje do jej biografii. Urodziła się w 1950 r. w Toronto, gdzie ukończyła studia i obroniła doktorat o poezji starożytnej Grecji. Bardzo niechętnie opowiada o tamtym okresie: „Projektowałam nawet opakowania do płatków śniadaniowych" - mówiła w jednym z wywiadów, tłumacząc kilkuletni okres literackiej bezczynności po dyplomie. Ostatecznie poświęciła się naukowo literaturze starożytnych Greków i Rzymian.

Zadebiutowała w 1986 r. ciepło przyjętym esejem „Słodko-gorzki Eros", który był rozwinięciem jej doktoratu. Choć pierwsze wiersze opublikowała już w latach 80., jej debiutancki tom poetycki, „Glass, Irony, and God" ukazał się dopiero w 1995 r. Późno, ale mimo to Carson szybko stała się jednym z najgłośniejszych nazwisk zachodniej, anglojęzycznej poezji. Obecnie mieszka na Islandii, w Stykkishólmur, a w 2022 r. otrzymała tamtejsze obywatelstwo.

Gerion i Herakles

Zarówno „Słodko-gorzki Eros", jak i „Glass, Irony, and God" miały swoje triumfy na listach czytelniczych hitów, lecz największą popularność przyniosła Carson powieść wierszem „Autobiography of Red" z 1998 r. (polskie tłumaczenie „Autobiografia czerwonego"), kompilacja kilku greckich starożytnych utworów. Opowiada o dorastaniu bohatera - Geriona, skrzydlatego chłopca o czerwonej skórze, jego wewnętrznym świecie, pożądaniu oraz skomplikowanej relacji z butnym i egocentrycznym włóczęgą Heraklesem.

Szczególnie entuzjastycznie przyjęły powieść środowiska mniejszości seksualnych. Gerion jako ofiara manipulującego nim Heraklesa – symbolizujący współczesnego geja – jest nie tylko prefiguracją mechanizmu miłosnego uzależnienia, ale też przykładem dyskryminacji ze strony konserwatywnego społeczeństwa.

Krytycy podkreślali, że Carson sięga do antycznych historii, by opowiedzieć je w nowym społecznym anturażu. „To zdumiewająco obrazowa i zarazem erudycyjna książka o »zwyczajnej, po ludzku zwyczajnej, źle wybranej miłości«, ale też refleksja o byciu innym" – pisał recenzent „The New York Review of Books".

Erudytka na McGill

W twórczość Carson na równych prawach i równolegle funkcjonują Safona, Katullus, Ajschylos, Stezychor, Eurypides, Samuel Beckett, Gertrude Stein, Emily Brontë, Virginia Woolf i Emily Dickinson (fragment wiersza tej ostatniej otwiera „Autobiography of Red"). Ten klasyczny postmodernistyczny zabieg, znoszący granicę między epokami, stylami, gatunkami i narracjami, stał się z czasem znakiem rozpoznawczym nie tylko literatury sygnowanej przez kanadyjską poetkę, ale też jej uniwersyteckich wykładów.

Gdy Carson nauczała na McGill w Montrealu żartowano, że jej monologi w starożytnej grece przypominają zawody olimpijskie – do mety dotrwa ten, kto na czas zdoła otworzyć odpowiednią stronę w „Encyklopedia Britannica". Sęk w tym, że choć liczy ona 32 opasłe tomy, na nic się zdawała przy erudycji perorującej poetki.

Mało kogo zdziwiło więc, że w 2001 r. Anne Carson otrzymała T.S. Eliot Prize za tom poetycki „The Beauty of the Husband" („Piękno męża"). Była wówczas pierwszą kobietą w historii, która zdobyła ten prestiżowy brytyjski laur.

Być ekscentrycznym

Z wielu komentarzy pisanych już po przyznaniu jej Nobla wynika, że Carson uważana jest w rodzinnej Kanadzie za ekscentryczkę. To nowość, bowiem do tej pory pisano zwykle, że samotniczką i unikającą wywiadów introwertyczką. Rzadko udzielała wypowiedzi prasowych, a o swoim życiu prywatnym mówiła bardzo niewiele. Całkiem niedawno wymsknęło się jej jednak, że zauważa u siebie początki choroby Parkinsona. Niejako potwierdziła to w 2024 r, na łamach „London Review of Books", w eseju „Gloves On!".

Być może na jej nowy wizerunek wpływa jej zamiłowanie do prowokująco androgynicznego stylu i upodobania do noszenia wzorzystych krawatów. W takim właśnie pojawiła się w 2025 r. w Warszawie, gdy odbierała Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta. Mówiła wtedy: „Jeśli chcesz uwiecznić, zapisać lub ująć ekscytację, jaką przynosi myślenie, to właśnie poezja jest najlepszym narzędziem".

Ponoć gdy zadzwonił do niej sekretarz Akademii Szwedzkiej z wieścią, że dostała Nobla, poetka była zaskoczona. Powiedziała, że spaceruje właśnie po Stykkishólmur nad fiordem Breiðafjörður i słucha wiatru. Czy to wystarczająca dawka ekscentryczności? Chyba tak.

eprasa.pl 35b7964dc6

STOPKLATKA



FOT. PAP/EPA/MOHAMMED BADRA

↑

We Francji od kilkunastu dni trwają protesty o skali brutalności niewidzianej w tym kraju od lat. Demonstrują licealiści. Oficjalnie - przeciwko braku inwestycji w szkoły ze strony państwa. W praktyce te protesty nabrały barw politycznych i są już traktowane jako pierwszy akord kampanii przed zaplanowanymi na przyszły rok wyborami prezydenckimi



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

↑

3500 kg - tyle ważyły niewybuchy z czasów II wojny światowej, które znaleziono w okolicach portu zewnętrznego w Świnoujściu. Odkryto je przy okazji prac przygotowawczych do budowy nowego falochronu w tym porcie. Niewybuchy zostały zneutralizowane przez nurków-minerów z 8. Flotylli Obrony Wybrzeża

→

Seria dramatycznych scen w polskich szkołach. Najpierw w Ostrołęce 19-letni uczeń (widoczny na zdjęciu po zatrzymaniu przez policję) nożem zaatakował dziewięć osób: uczniów i pracowników. Dzień później w jednej ze szkół pod Wyszkowem doszło do podobnego incydentu - jedna pracownica szkoły zmarła po ataku, dwie osoby zostały ranne



FOT. PAP/POLICJA MAZOWSZE



FOT. PAP/EPA/ANDRE BORGES

←

45-letni Flavio Bolsonaro stał się nieoczekiwanie faworytem do zwycięstwa w wyborach prezydenckich w Brazylii. W pierwszej turze syn byłego prezydenta pokonał obecnie urzędującą głowę państwa Lulę da Silvę. Druga tura 25 października

eprasa.pl 35b7964dc6

SIŁY ZBROJNE RP

Koniec „wuzety". Wojsko Polskie wprowadza nowy mundur K03 „Ryś"

Po blisko trzech dekadach użytkowania charakterystycznej „wuzety" Wojsko Polskie wprowadza nowy wzór maskujący. Kamuflaż K03 „Ryś" ma zapewnić lepsze właściwości maskujące zarówno w dzień, jak i w nocy, poprawić komfort użytkowania oraz zwiększyć bezpieczeństwo żołnierzy. Nowe umundurowanie zostało opracowane w Polsce, przetestowane przez polskich wojskowych i ma być produkowane wyłącznie przez krajowy przemysł

Piotr Celej

Wprowadzenie nowego wzoru maskującego to jedna z największych zmian w wyposażeniu indywidualnym żołnierza od lat. Dotychczasowa „leśna pantera" służy w Wojsku Polskim od połowy lat 90. W tym czasie zmienił się jednak zarówno charakter współczesnego pola walki, jak i technologie wykorzystywane do wykrywania przeciwnika.

Nowe szaty polskiego żołnierza

To olbrzymia zmiana – wzór kamuflażu to dla żołnierzy coś jak barwy klubu dla kibiców. Są z nim zżyci w wyjątkowy sposób. Nic więc dziwnego, że każda zmiana wzoru mundurów to w wojsku prawdziwy „big news". „Dropnęły nowe skórki" – pisał w social mediach jeden z miłośników militariów. „Koniec epoki »wuzety«"– wtórował mu inny. I słusznie, bo nowy kamuflaż K03 „Ryś" to rewolucja w polskiej armii. O zmianie zdecydowały doświadczenia żołnierzy, rozwój technologii oraz wyniki wieloletnich badań prowadzonych przez Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi.

– Po 30 latach nadszedł czas, by zmienić wzór maskujący: taki, który nie tylko zakamufluje żołnierza, ale pozwoli mu pozostać jak najdłużej niewidzialnym dla przeciwnika – mówił Paweł Mateńczuk podczas prezentacji mundurów.

K03 „Ryś". Pięć kolorów i rozbicie sylwetki

Twórcy nowego kamuflażu postawili na rozwiązanie określane jako wielośrodowiskowe. K03 wykorzystuje pięć kolorów, nieregularne plamy o zróżnicowanej wielkości oraz płynne przejścia między poszczególnymi barwami. Celem nie jest wyłącznie dopasowanie do konkretnego koloru otoczenia, lecz przede wszystkim rozbicie charakterystycznych konturów ludzkiej sylwetki. To duża zmiana filozofii maskowania. W nowoczesnych kamuflażach coraz większe znaczenie ma nie tyle imitowanie koloru terenu, ile utrudnienie przeciwnikowi rozpoznania człowieka jako celu.



FOT. MAT.PRAS. MON

Podczas prac nad nowym mundurem wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych

Dotyczy to zarówno obserwacji prowadzonej gołym okiem, jak i z wykorzystaniem zaawansowanych urządzeń optycznych.

– Kamuflaż K03 został zaprojektowany tak, aby ograniczać czytelność sylwetki żołnierza i dostosowywać się do różnych typów terenu: od lasów po obszary zabudowane – wyjaśniał podczas prezentacji płk Maciej Żytelewski.

Badania prowadzone były w różnych warunkach terenowych oraz przy zastosowaniu różnych metod obserwacji. Uzyskane wyniki miały potwierdzić wysoką skuteczność nowego wzoru.

– To jest niezwykły dzień dla Wojska Polskiego. Człowiek jest najważniejszy, żołnierz Wojska Polskiego jest najważniejszy. Jego bezpieczeństwo, przygotowanie, jego komfort służby jest dla nas najważniejszy. Dlatego po kilkunastu miesiącach prac ogłaszamy zmianę rewolucyjną dla żołnierzy Wojska Polskiego – mówił szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. – Dlaczego taka decyzja? Bo bezpieczeństwo żołnierza i jego komfort służby są najważniejsze. Widzieliśmy informację o tym, że ten mundur i jego kamuflaż sprawia, że jest dużo mniej widoczny zarówno w dzień, jak i w nocy, i noktowizja tutaj jasno i wyraźnie pokazuje, że w przedziale mundurów porównywanych jest to najlepsze rozwiązanie z możliwych – dodał minister.

Widoczność gołym okiem, ale też noktowizja

Jednym z najistotniejszych wymagań stawianych nowemu mundurowi była skuteczność podczas obserwacji nocnej. Współczesne pole walki jest bowiem nasycone noktowizją, termowizją i sensorami optoelektronicznymi. Podczas testów K03 „Ryś" wykazał bardzo dobre właściwości maskujące podczas obserwacji przez urządzenia noktowizyjne. To szczególnie istotne dla żołnierzy wojsk operacyjnych, wojsk specjalnych czy wojsk obrony terytorialnej, które mogą działać w warunkach ograniczonej widoczności.

– To jest najlepszy moment, w którym mogliśmy zdecydować się na wdrożenie nowego kamuflażu, wielośrodowiskowego kamuflażu nowej generacji. Oznacza to jakościowy skok w zakresie bezpieczeństwa żołnierzy – ocenił szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła.

Większy komfort, lepsza odporność

Zmiany nie ograniczają się wyłącznie do samego wzoru maskującego. Równie istotny jest nowy materiał, z którego szyte będą mundury. Przepuszczalność powietrza ma być nawet dwukrotnie wyższa niż w obecnie używanych mundurach polowych. Oznacza to lepsze odprowadzanie ciepła oraz wilgoci podczas marszów, ćwiczeń i działań bojowych prowadzonych w wysokich temperaturach.

Projektanci zadbali również o większą odporność tkaniny na promieniowanie słoneczne oraz możliwość prania munduru w temperaturze do 60 stopni Celsjusza. To rozwiązania, które mają bezpośrednio przełożyć się na trwałość wyposażenia i łatwość jego eksploatacji w warunkach wojskowych. Ponadto mundur ma specjalne mocowania, które mogą służyć za... temblak na kontuzjowaną rękę. Nowe umundurowanie zaprojektowano również z myślą o współpracy z nowoczesnym wyposażeniem żołnierza. Krój uwzględnia stosowanie kamizelek balistycznych nowej generacji, pasów bojowych, oporządzenia modułowego oraz systemów przenoszenia wyposażenia.

Istotnym elementem programu była współpraca z użytkownikami końcowymi. Wojsko podkreśla, że podczas prac wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych, w tym operatorów Wojsk Specjalnych. Za badania i rozwój odpowiadał Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi, specjalizujący się w opracowywaniu wyposażenia osobistego oraz badaniach materiałów włókienniczych.

Produkcja w całości w Polsce

Podczas prezentacji minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślił, że nowy mundur jest polskim projektem i będzie produkowany przez krajowy przemysł. – Został zaprojektowany w Polsce, sprawdzony przez polskich żołnierzy i będzie w 100 procentach produkowany w Polsce – zaznaczył szef MON.

Według ministra koszt pojedynczego kompletu nowego umundurowania wynosi około 1000 złotych. Jednocześnie resort obrony planuje przeznaczyć w przyszłym roku nie mniej niż miliard złotych na wyposażenie żołnierzy w nowe mundury.

Sama prezentacja wzoru K03 nie oznacza natychmiastowego wycofania wszystkich mundurów wz. 93. Skala przedsięwzięcia jest ogromna. Wojsko musi zabezpieczyć produkcję, magazynowanie i dystrybucję nowych kompletów dla setek tysięcy żołnierzy zawodowych, ochotników i rezerwistów.

Proces wymiany będzie rozłożony na lata. W pierwszej kolejności nowe umundurowanie trafi prawdopodobnie do jednostek liniowych i żołnierzy pełniących służbę zawodową, a dopiero później do pozostałych formacji i zasobów mobilizacyjnych.

eprasa.pl 35b7964dc6

ŁÓDŹ

Adin, dwa, tri. Jak Anatolij Kaszpirowski zahipnotyzował Polskę lat dziewięćdziesiątych

Na czarno ubrana postać przeszywająca wzrokiem zgromadzonych przed telewizorami, wolno odliczający głos: Adin, dwa, tri... Zmarłego właśnie w wieku 87 lat Anatolija Kaszpirowskiego znają wszyscy starsi Polacy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że jego oszałamiająca kariera zaczęła się od występów w Łodzi

Anna Gronczewska

Kariera Anatolija Kaszpirowskiego zaczęła się w telewizji Związku Radzieckiego. Gabriel Michalik jest autorem książki „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". Spotkał się z Anatolijem, poznał jego historię i początki zawrotnej popularności w Polsce.

– Mirosław Kuliś, łódzki dziennikarz, zobaczył w Telewizji Polskiej seanse Kaszpirowskiego, które wcześniej zarejestrowano w Związku Radzieckim – opowiada Gabriel Michalik. – Potem pojechał do Kijowa, by przeprowadzić wywiad z Anatolijem. Na miejscu zorientował się, że to ciekawy temat nie tylko na wywiad. Uznał, że może to dobry interes i po kilku miesiącach sprowadził uzdrowiciela do Polski. Pierwszy jego seans odbył się w Łodzi, w Hali Sportowej.

Ukrył się w centrum Łodzi

Kaszpirowski pojawił się w Łodzi na przełomie kwietnia i maja 1990 roku. Miał przylecieć na łódzkie lotnisko Lublinek helikopterem. Jego przylot miał być tajemnicą, ale na płycie lotniska pojawiła się ekipa łódzkiej telewizji. Helikopter wylądował więc w Leźnicy koło Łęczycy, stamtąd uzdrowiciel przyjechał do Łodzi samochodem.

– W ciągu następnych dni dziennikarze próbowali wytropić tajny ośrodek, w którym Kuliś zakwaterował psychoterapeutę – czytamy w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". A prawda była zgodna z porzekadłem, że najciemniej jest pod latarnią. Przez tydzień kwaterował w apartamencie w Grand Hotelu, w samym centrum Łodzi.

Pierwszy seans odbył się w łódzkiej Hali Sportowej przy ówczesnej ulicy Worcella, obecnie ks. Skorupki.

– Nie była to klapa, ale z pewnością i nie sukces – wspominał w książce Gabriela Michalika Mirosław Kuliś. – Sprzedało się niespełna pięć tysięcy biletów. Miejsc w hali było prawie dziewięć tysięcy. Tak rozlokowaliśmy publiczność, żeby widownia nie świeciła pustkami.

Jak pisze w swojej książce Gabriel Michalik, przy bramie prowadzącej wprost z hali na ulicę zebrało się kilkudziesięciu Łodzian pragnących raz jeszcze z bliska zobaczyć Kaszpirowskiego.

– Sprzyjało mi szczęście – tak w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy" wspominał to Mirosław Kuliś. – W pobliżu stała wraz z ekipą zdjęciową koleżanka z łódzkiego oddziału telewizji. Wzdłuż drogi, którą jechała limuzyna, ustawiono barierki. W ciasnej przestrzeni pomiędzy barierkami a samochodem te kilkadziesiąt osób stworzyło mimowolnie sztuczny tłok.

Zawołałem koleżankę. Kamera zarejestrowała moment, gdy ludzie przepychają się, aby być jak najbliżej Kaszpirowskiego. Te sceny wyemitowano na antenie ogólnopolskiej. W ogóle powtarzano je dość często. Były bardziej efektowne, bardziej telewizyjne niż relacja z sennego seansu.

Później nie było już problemów z zapełnianiem hal w Katowicach, Gdańsku czy Warszawie. Bilety na seanse Kaszpirowskiego kosztowały 30-50 tysięcy złotych, a średnia pensja w Polsce wynosiła milion.

Po swym pierwszym polskim seansie Anatolij Kaszpirowski złożył życzenia czytelnikom „Dziennika Łódzkiego" i udzielił gazecie wywiadu. Nie odpowiedział na pytanie, czy wierzy w Boga. Twierdził też, że do leczenia potrzebuje czystego umysłu.

Podczas wizyty w Łodzi uzdrowicielowi towarzyszyła ówczesna żona Walentyna Kaszpirowska.

72-letnia Jolanta Śmiechowska, emerytowana księgowa, dobrze pamięta wizytę uzdrowiciela w Łodzi, choć już nie datę.



Kaszpirowski już w Łodzi

W niedzielę seanse w Hali Sportowej

Msza w sanktu... Jerzego Popiełuszki siedziby OPZZ manifestacja ar...

Święto Pracy

50 mln zł nagrody za wskazanie sprawców podpalenia

Na zdjęciu: powitanie. CAF — Damazy Kwiatkowski — telefoto

W ostatni dzień kwietnia, w poniedziałek, o godz. 23.17 na łódzkim lotnisku Lublinek wylądował wojskowy helikopter Mi-8, który przywiózł do naszego miasta rosyjskiego psychoterapeutę – znanego poprzez TV miliionom mieszkańców Polski — Anatolija Kaszpirowskiego. Przylot „uzdrowiciela" organizowany był w największej tajemnicy. Na lotnisku była już jednak ekipa łódzkiej telewizji, co doprowadziło one-

tyczne Anatolija Kaszpirowskiego odbędą się w Hali Sportowej w Łodzi w dniu 6 maja (niedziela) o godz. 11 oraz 17 a także 7 maja (poniedziałek) o godz. 17.30.

Karty wstępu są do nabycia już od dzisiaj m.in. w następujących punktach przedsprzedaży:

— Hala Sportowa (kasy od strony ul. Stefanowskiego i al. Politechniki) w godz. 9—15,

— DKM ul. Nawrot 27, w

Minister spraw wewnętrznych wyznaczył nagrodę w wysokości 50 mln zł dla osoby, która wskaże lub udzieli informacji pozwalającej na ustalenie i ujęcie sprawcy będą sprawców podpalenia mieszkania red. Jerzego Jachowicza, a także — być może — kilku innych podobnych podpaleń.

Informacje można przekazywać do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych (nr tel. 45-65-83 lub 26-61-20) do Rejonowego U-

głównym akcentem „solidarnościowych" obchodów 1 Maja w Warszawie były: msza św. i spotkanie w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

W swym kazaniu ks. Malkowski przypomniał, że 1 Maja jest obchodzony uroczyście przez Koś-

FOT. ARCHIWUM

Pierwsza strona „Dziennika Łódzkiego" z 2 maja 1990 roku. Informacja o seansie Kaszpirowskiego była na czołówce gazety

– Miałam od lat kłopoty ze zdrowiem – opowiada. – Z kręgosłupem, żołądkiem. Kaszpirowskiego wcześniej znałam z telewizji. Gdy dowiedziałam się, że przyjeżdża do Łodzi, to postanowiłam pójść na spotkanie. Okazało się, że nie było prosto znaleźć bilet. Pomógł mi szwagier. Zawiózł nas nawet do hali. Mnie i moją mamę, która miała kłopoty z nogami.

Jolanta nie zapomni, że siedziała w tłumie. Kaszpirowski zajął miejsce na scenie. Siedziała tak daleko, że nawet go dobrze nie widziała. Ale tak, jak w telewizji, zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy... dziesięć.

– Koło mnie i mamy siedziała młoda dziewczyna – wspomina Jolanta. – W pewnym momencie podczas tego liczenia osunęła się z krzesełka, ludzie zaczęli ją cucić. Tak widać to przeżyła. Na mnie i na mamę nie podziałało i nie pomogło w naszych kłopotach zdrowotnych.

Psychiatra z Winnicy

Gabriel Michalik wiele razy spotykał się, rozmawiał z Anatolijem Kaszpirowskim.

– Anatolij miał bardzo silną osobowość – twierdzi. – Był bardzo apodyktyczny, ale też serdeczny i życzliwy wszelkiemu ludzkiemu nieszczęściu. W tej apodyktyczności zawierało się przewrażliwienie na swoim punkcie. Stąd przez ostatnie 20 lat toczył bezustanne walki ze śmiejącymi się z niego dziennikarzami, wytaczał procesy. Stał się memiczną postacią. Był po wielu operacjach plastycznych z ufarbowanymi na czarno włosami. Ja go w każdym razie bardzo lubiłem, trochę się go bałem. Bałem się go, bo ciągle ode mnie czegoś chciał. Niebawem będzie można oglądać film dokumentalny o Kaszpirowskim, który na potrzeby HBO nakręcił Łukasz Konopa.

Anatolij Kaszpirowski był z wykształcenia lekarzem psychiatrą. Pracował w szpitalu w ukraińskiej Winnicy.

– Jego matka Jadwiga była Polką, a ojciec po prostu sowieckim człowiekiem – mówi Gabriel Michalik. – Ojciec miał białoruskie i ukraińskie korzenie. Mama Anatolija raz przyjechała na jeden z polskich seansów syna. Mirek Kuliś zachwycał się jej piękną, kresową polszczyzną. Trzeba pamiętać, że Kaszpirowski dorastał w czasach stalinowskich. Jego polskie korzenie nie były eksponowane. W latach 80. jego kariera miała charakter wszechsowiecki. Najpierw awansował do Kijowa, a potem do Moskwy. A w ostatnich latach życia dzielił czas pomiędzy Moskwę i Nowy Jork. Miał też amerykańskie obywatelstwo. Po ataku Rosji na Ukrainę Kaszpirowski znalazł się w roli zakładnika. Zaraz po wybuchu wojny wypowiedział się o niej krytycznie, a był wtedy w Rosji. Ktoś go musiał nastraszyć, bo potem więcej o wojnie się nie wypowiadał.

Gabriel Michalik opowiada, że ponad rok temu, gdy Kaszpirowski był jeszcze w dobrej formie, na potrzeby filmu Łukasza Konopy miał przyjechać do Polski, dać jakiś seans, rozeszły się nawet bilety. Seans miał się odbyć w Warszawie, ale w tej sprawie u prezydenta Rafała Trzaskowskiego interweniował ambasador Ukrainy, który twierdził, że Kaszpirowski jest zwolennikiem Putina. Co nie było prawdą, bo w książce Michalika wypowiadał się krytycznie o prezydencie Rosji. Ostatecznie do seansu nie doszło.

Niedoszły seans z kosmosu

Anatolij Kaszpirowski ostatni raz był w Polsce w 2023 roku. Spotkał się wtedy z Lechem Wałęsą. Chciał, by były prezydent Polski, jako laureat Nagrody Nobla, pomógł mu spełnić jego wielkie marzenie i skontaktował go z Elonem Muskiem. Marzył, by polecieć w kosmos i stamtąd przeprowadzić seans.

– Spacerowaliśmy wtedy po Warszawie, ludzie go poznawali – wspomina Gabriel Michalik. – Starsze panie podchodziły i prosiły o uzdrowienie. Jednak najbardziej wzruszające zdarzenie miało miejsce na Okęciu. Tam podeszły do niego dwie starsze Ukrainki. Uklękły przed nim jak przed Mesjaszem i pytały: – Mistrzu, kiedy skończy się wojna!

Wiadomość o śmierci Kaszpirowskiego była dla Gabriela Michalika zaskoczeniem, choć wiedział, że od dłuższego czasu chorował.

– Nie miałem z nim przez ostatni rok kontaktu – tłumaczy. – Rok temu wydarzyła się też niezwykła rzecz. Mając 86 lat po raz kolejny został ojcem. Nie złożyłem mu wtedy gratulacji. Łukasz, reżyser filmu, rozmawiał często z trzecią żoną Anatolija, Gulizar. Mówiła, że jest w kiepskim stanie. Ma problemy z pamięcią, był w szpitalu.

Ani szarlatan, ani uzdrowiciel

Często stawia się pytanie, kim był Kaszpirowski? Szarlatanem czy uzdrowicielem?

– Myślę, że nie był ani jednym, ani drugim – odpowiada Gabriel Michalik. - Był lekarzem psychiatrą, ale pracując w szpitalu w Winnicy dorabiał sobie pokazami hipnozy estradowej. Jeździł z nimi po całym Związku Radzieckim. Nauczył się rozmaitych technik, sztuki perswazji. Później w jakiś sposób udało mu się odkryć, że ten sposób może poprawiać czyjeś samopoczucie. Spektakularnym sukcesem było znieczulenie podczas trzech operacji chirurgicznych z pomocą hipnozy. By to poważne operacje na jamie brzusznej u osób, które nie mogły być poddane zwykłej narkozie. Te operacje transmitowała sowiecka telewizja.

W Rosji seanse telewizyjne Kaszpirowskiego oglądało nawet 300 milionów ludzi, a w Polsce – 20 milionów. Prof. Włodzimierz Piątkowski, socjolog z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej w Lublinie, przeanalizował kilkadziesiąt tysięcy listów, jakie Polacy wysyłali do telewizji po seansach Kaszpirowskiego. Wynika z nich, że efekt terapeutyczny był poniżej efektu placebo. Polacy pisali jednak w listach o zanikaniu jakichś owrzodzeń, blizn, guzów, zmian skórnych. Niektórym miały odrastać włosy. Podobno jego seanse dawały dobre efekty w leczeniu alergii.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że Kaszpirowski zrobił w Polsce oszałamiającą karierę.

eprasa.pl 35b7964dc6

NOWA SÓL

Sny o miedzi

Na ziemię, która skrywa żyłę złota – a raczej miedzi – padał deszcz. Strasznie lało. Niemal jak w opowiadaniu Zygmunta Haupta, w którym dziewczyna mówi chłopakowi, że to już ostatni raz i że powinni przejść z powrotem na „pan" i „pani". Nie myślałem jednak o literaturze, tylko o tym, że mam napisać reportaż o snach, wizjach, marzeniach mieszkańców Nowej Soli, które mogłyby się ziścić po powstaniu kopalni. Potencjalnym powstaniu

Mateusz Pojnar

Dlatego poszedłem na teren starej „Odry" albo – jak mawia młodzież – na zegar. Nazywają tak to miejsce od stojącej tam wieży z zegarem. Kiedyś była tu ogromna fabryka nici. Teraz trwały ostatnie przygotowania przed imprezą. Chciałem zacząć od młodzieży, bo to młodzi mogą w przyszłości najbardziej skorzystać z powstania kopalni miedzi i srebra. Potencjalnie.

Problemem w mieście jest to, że młodzi stąd wyjeżdżają. Osiadają we Wrocławiu, Poznaniu, Zielonej Górze. Budują swoją przyszłość w większych ośrodkach.

Przez pogodę była tam jedynie garstka ludzi. Sprzedający frytki, burgery i kebaby musieli co jakiś czas zasłaniać stoiska plandekami, żeby jedzenie nie odpłynęło im razem z deszczem. Starszy facet siedział pod parasolem, pił piwo i palił papierosy. Jednego za drugim. Trzech wyrostków – na oko po 15 lat – kręciło się wokół boksera, maszyny sprawdzającej siłę uderzenia. Zaczęli uderzać, a ten, który wygrał, bardzo się z tego cieszył.

Za mną usiadło dwóch chłopaków. Gdy położyli plecak na stole, usłyszałem brzdęk butelek. Jeden z nich się zaczerwienił.

Ale miało być o miedzi. W Nowej Soli istnieje młodzieżowa rada miejska, która ma podpowiadać urzędnikom i radnym, czego oczekują młodzi. Jej szefem jest Jakub Ulita.

- Kopalnia? Szczerze mówiąc za bardzo nie zagłębiałem się w temat – uśmiecha się przewodniczący. – Jak zawsze może to pójść w dwie strony: w pozytywną, ale i negatywną, bo kopalnia kojarzy się z ingerencją w naturę. Mam obawy o środowisko. Ale to nasza szansa na to, by stać się bogatym regionem. Nie chciałbym tam jednak pracować. Jestem już ukierunkowany na architekturę. Kopalnia nie przebija się w naszych rozmowach z koleżankami i kolegami.

Perkusista zagrał, a młodzi zaczęli się bawić. Nie chciałem im truć. Wrócę tu za parę dni – pomyślałem.

Mają u was wydobywać miedź

Kanadyjska spółka Lumina Metals póki co wierci dziury w ziemi i pracuje nad uzyskaniem koncesji wydobywczej. Prezes Jordan Pandoff mówił mi, że kolejne odwierty mają przybliżyć ich do budowy kopalni. Równolegle prowadzą badania środowiskowe. Pandoff zapewniał, że „mocno zwracają uwagę na ochronę środowiska". Zapowiadał, że to ma być „zielona kopalnia".

- Modelujemy, jak w przyszłości będzie wyglądała: gdzie będą poszczególne elementy i szyby. Zaplanujemy je na podstawie odwiertów – tłumaczył.

Wcześniej wakacje spędzałem nad Bałtykiem. I tam temat kopalni „Nowa Sól" żył swoim życiem.

- Słyszałem, słyszałem – powiedział wujek, gdy przechadzaliśmy się po plaży.

Zapytałem, co usłyszał, bo mentalnie byłem z dala od nowosolskich spraw.

- No jak to?! – zdziwił się. – Mają przecież budować u was kopalnię. Widziałem informacje w telewizji, czytałem w internecie. Gdy już wybudują, będziecie lubuskimi szejkami.

Odpowiedziałem, że droga jeszcze daleka.

Wieczorem w centrum Gdańska na koncercie jazzowym poznałem przemiłego faceta spod Warszawy. Od słowa do słowa wyszło, że jestem z Nowej Soli.

- Znam to miasto! – zareagował z ożywieniem. – Mają u was wydobywać miedź!

Biuro już powstało

Prezes Luminy wyliczał, że w regionie jest 10 mln ton miedzi i miliard uncji srebra. Opowiadał mi o harmonogramie dalszych prac.

- Zaczęlibyśmy budowę zaraz po otrzymaniu koncesji wydobywczej, czyli w 2030 r. – mówił. – Sama budowa potrwa cztery-pięć lat. Przed nami mnóstwo pracy, ale pierwsza produkcja byłaby już w 2035.

Spółka bada to, co pod ziemią, w pięciu lubuskich gminach. 53 proc. złoża jest na terenie gminy wiejskiej Nowa Sól, ale siedziba kopalni ma być w mieście. Zresztą powstało tu już biuro Luminy.

Z raportu EY wynika, że w fazie inwestycyjnej projekt będzie średniorocznie generował ok. 19 tys. miejsc pracy (bezpośrednich, pośrednich i w branżach wspierających) i 1,97 mld zł dodatkowej wartości do regionalnego PKB w obszarze zielonogórskim. Po uruchomieniu wydobycia te liczby mają wzrosnąć do: średniorocznie 38,6 tys. miejsc pracy (w tym ok. 3650 osób zatrudnionych bezpośrednio przy kopalni) i ok. 10,85 mld rocznej wartości dodanej dla gospodarki regionu.

Aneta Koszela jest księgową, prowadzi firmę w Nowej Soli. Politycy i samorządowcy powtarzają, że niedługo mieszkańcy powiatu staną się bogaci. Kto jak kto, ale księgowa potrafi świetnie liczyć, więc pytam ją, co to tak naprawdę może oznaczać. Mówi, że w gminach, w których będzie prowadzone wydobycie, wzrosną dochody z podatków od nieruchomości i opłaty eksploatacyjnej. Więcej kasy popłynie z kieszeni mieszkańców w ramach podatku PIT od wynagrodzeń. No i podatek CIT od spółek i firm.

- Inwestycja stanie się potężnym motorem napędowym dla gospodarki – tłumaczy. – Rynek mieszkaniowy powinien ruszyć z kopyta, będzie popyt na działki budowlane, powstaną hotele pracownicze, sklepy, do tego gastronomia, serwisy samochodowe; dodajmy transport pracowniczy, firmy budowlane, logistykę, magazyny, szkoły, przedszkola. Czyli dwu-, a może i trzykrotnie wzrośnie zapotrzebowanie dosłownie na wszystko. Regiony, w których powstawały tego typu kopalnie, stały się najbogatsze w Polsce. Gospodarczo każda branża może na tym skorzystać. Z drugiej strony ważne jest, by administracja publiczna wzięła za to odpowiedzialność: od szczebla rządowego, przez różne urzędy, aż po samorządowców. Księgowej marzy się, by w mieście rozwinęła się kultura.

Lumina Metals zapewnia, że nie będzie żadnego zbiornika odpadów w stylu Żelaznego Mostu. Tylko się cieszyć, że nie zdewastuje przyrody

PAWEŁ KOPEĆ
historyk, nauczyciel

Może powstałby mały teatr zawodowy?

- Cieszyłabym się z filharmonii – uśmiecha się. – Staramy się w rodzinie kłaść nacisk na uczestnictwo w życiu kulturalnym, ale żeby w nim uczestniczyć, najczęściej trzeba pojechać do Zielonej Góry, Wrocławia, Poznania. Kolejna sprawa to restauracje – w mieście jest mnóstwo kebabów, ale mieszkańcy chcieliby czasem zjeść coś innego. Przydałoby się więcej kawiarni i miejsc, które są otwarte dłużej, gdzie można spędzić wieczór z przyjaciółmi.

Przychodzi jej do głowy remont stadionu, na którym można byłoby organizować profesjonalne zawody lekkoatletyczne.

Paweł Kopeć jest historykiem, uczy w „Elektryku". Chciałby, żeby kopalnia powstała.

- Lumina Metals zapewnia, że ma być nowoczesna i nie będzie żadnego zbiornika odpadów w stylu Żelaznego Mostu. Tylko się cieszyć, że nie zdewastuje przyrody – zaznacza. – Ale od lat mówi się o konkretnych datach, a one wciąż są przesuwane. Może dlatego, że kolejne rządy z różnych opcji nie wspierały dostatecznie tej inwestycji? Może warto jakoś obniżyć podatek od wydobycia, żeby mieć nowosolskie zagłębie miedziowe? Jeśli KGHM nie był do tej pory zainteresowany budową kopalni, to niech ją wybudują Kanadyjczycy. Warto skorzystać z tego, co kryje ziemia pod naszymi stopami. Powinna wygrać gospodarka i progresywne myślenie.

Kopeć przewiduje, że jeśli kopalnia powstanie, przyjedzie mnóstwo nowych mieszkańców, którzy będą myśleli o kupnie mieszkania, założeniu rodziny. I że pojawi się więcej uczniów.

- Wtedy nie stracimy roboty – żartuje. – Podczas wizyty w naszej szkole Kanadyjczycy powiedzieli, że liczą na współpracę ze szkolnictwem zawodowym, a jesteśmy prężną placówką. Korzyści byłyby obopólne. Może nowe kierunki: technik górnictwa, robót podziemnych? Pytasz o przypuszczenia, więc fantazjuję.

Lista marzeń jest długa

- Czy wierzę, że kopalnia powstanie? Tak, od wielu lat już o tym mówią – mówi Anna, pracownica jednego ze sklepów w dzielnicy Zatorze. Rozmawiamy, bo akurat nie ma klientów.

Ekspedientka dodaje, że w pierwszej kolejności Lumina powinna zatrudniać tutejszych. Przewiduje, że miasto stanie się dużo większe.

- Wieś Rudno można byłoby dołączyć do Nowej Soli. W kopalniach jest duża kasa, a życie jest drogie. Będą zupełnie inne możliwości – zauważa. - Dobrze by było, gdybyśmy nie musieli ciułać przez 12 miesięcy, by odłożyć na wakacje. Może to nie oznaczałoby wielkiego bogactwa, ale na pewno godne życie.

– Przydałaby się galeria handlowa z prawdziwego zdarzenia. Nie ma gdzie się ubrać, brakuje porządniejszych sklepów - mówi. Kolejne marzenie na liście: kąpielisko. Wie nawet, gdzie mogłoby powstać.

Pytam, czy rozważałaby zatrudnienie się w kopalni, np. w administracji. - A czemu nie? – dziwi ją moje pytanie. – Nie zastanawiałabym się dwa razy. Handel to ciężka praca, a ludziom się wydaje, że stoimy i nic nie robimy.

Joanna i Marcin Dysiewiczowie są młodym małżeństwem. Ich syn Adaś ma dziewięć lat.

- Może macie w domu małego górnika, a jeszcze o tym nie wiecie? – zagajam.

- Siedzi czasem w ciemnym pokoju przy komputerze i gra w Minecrafta, więc może nieświadomie przyzwyczaja się do ciemności podziemi – śmieje się Marcin.

- A w grze posługuje się kilofem, czyli powoli ćwiczy – żartuje mama chłopca.

Małżeństwo uważa, że kopalnia jest szansą dla pokolenia mieszkańców, które dopiero dorasta.

- Ludzie nadal będą mogli próbować realizować się w różnych miejscach pracy, ale jednocześnie, gdyby coś nie wyszło, pojawi się możliwość znalezienia etatu w kopalni. Taki spokój swego czasu wprowadziła u nas strefa ekonomiczna – zwraca uwagę Marcin.

- Jeśli przyjadą tu pracownicy z dziećmi, potrzebne będą nowe żłobki i przedszkola. Być może pokoleniu naszego syna będzie żyło się najlepiej w historii Nowej Soli – dodaje Marcin.

Co mają wspólnego kultura i kopalnia?

Konrad Gramont jest aktorem nowosolskiego teatru niezależnego Terminus A Quo. Prowadzi Fundację Panopticum, która działa w sferze kultury i prowadzi warsztaty dla młodzieży.

Kultura i kopalnia – oba słowa zaczynają się na tę samą literę i pozornie wydaje się, że tylko tyle mają ze sobą wspólnego. Ale Gramont zaznacza, że kopalnia mogłaby przeznaczać fundusze na przedsięwzięcia kulturalne. Przecież po pracy część ludzkości szuka wytchnienia w sztuce.

- Chodzi o granty nie tylko dla organizacji pozarządowych, ale też grup nieformalnych, które chciałyby realizować swoje małe marzenia za nieduże pieniądze – podkreśla. – Oddolnie staramy się robić, co możemy. Samej fundacji dzięki zewnętrznym środkom udało się zorganizować ponad sto działań w ciągu czterech lat. Przydałby się w mieście młodzieżowy dom kultury, miejsce, z którym młodzi by się utożsamiali.

W Panopticum marzą i o tym, by w Nowej Soli powstała mała szkoła artystyczna.

- Może pojawi się szansa powrotu większych imprez, które kiedyś były w mieście – zaznacza Gramont. – Mieliśmy masę festiwali: Solówkę, Spring Rock Festival, turnieje literackie, kon-

eprasa.pl 35b7964dc6



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Młodzież w Nowej Soli chodzi „na zegar". To część zabudowań dawnej fabryki nici

certy trzy razy w tygodniu. Warto byłoby do tego wrócić.

A sport? Prezes miejscowej Astry Grzegorz Boruszewski podkreśla, że bogatszy region mógłby łatwiej sfinansować budowę lub przebudowę infrastruktury sportowej. Hala? Jest świetna, ale nie spełnia standardów najwyższej klasy rozgrywkowej, tym bardziej europejskich. Stadion? Powiedzieć, że wymaga remontu, to nic nie powiedzieć. Do niedawna mieszkańcy mogli chodzić na mecze pierwszej ligi – zaplecza siatkarskiej ekstraklasy. Astra zrezygnowała jednak z gry na tym szczeblu. Powód? Pieniądze. Kasa z kopalni mogłaby być dla klubów wielką szansą.

- Ale to nieprawda, że nam cokolwiek się należy – mówi Boruszewski. – Chcemy, żeby biznes widział w nas partnera, a nie tylko koszt. Jeżeli dostaniemy coś za darmo, może się to skończyć tak jak w innych miastach, gdzie były kluby, które zniknęły z rynku, bo właśnie tak myślały: że im się wszystko należy. Będziemy przygotowywać się do każdego scenariusza biznesowego, który się wydarzy.

Z hali sportowej idę do kawiarni. Dawid Matejko prowadzi w centrum Cafe Wanilię. Ale centrum obumiera – to kolejny problem Nowej Soli. Standardem są kartki na szybach z napisem „do wynajęcia" lub „na sprzedaż". Przedsiębiorcy liczą, że jeśli ludzie zarabialiby lepiej, mogłaby się wytworzyć kultura częstszego chodzenia do lokali gastronomicznych.

Tyle że w sercu miasta nie ma rynku, tylko coś w rodzaju minideptaka – to i tak za duże słowo. Część mieszkańców zazdrości centralnego placu pobliskiemu Bytomiowi Odrzańskiemu. - Była próba zamknięcia pl. Wyzwolenia i stworzenia deptaka – przypomina Matejko. – Dla mnie jako przedsiębiorcy to byłoby najlepsze rozwiązanie. Ale patrząc szerzej myślę, że to nie zdałoby egzaminu. W centrum jest bardzo duży ruch aut. Od zawsze życie miało skupiać się bardziej wokół Odry, a nie rynku.

Właściciel kawiarni zwraca uwagę, że w Nowej Soli nie ma szkoły wyższej – nie ma więc życia studenckiego. Chciałby, żeby powstała uczelnia górnicza albo filia jakiegoś uniwersytetu. Studenci za dnia by się uczyli, a wieczorem... wiadomo.

Matejko rozmawia z turystami, którzy przyjeżdżają do miasta. - Pytają, gdzie jest rynek – śmieje się. – Słyszałem od gości, że dla nich przyjazd do Nowej Soli jest sentymentalny, bo zapamiętali, że kiedyś, gdy jechali nad morze, byliśmy najbardziej obskurną miejscowością, jaką mijali. Po latach są zaskoczeni, jak tu jest pięknie.

Ludzie będą wracać?

Andrzej Dela jest społecznikiem związanym z rzeką. Czasami myślę, że on i Odra to jedno, że stanowią jeden organizm. Jego rejsy za jeden uśmiech obrosły legendą. Dela to emerytowany górnik. Płyniemy jego Adelą po rzece i rozmawiamy.

Górnikiem w kopalni w Polkowicach został w 1973 r. Miał 20 lat. Pracował tam aż do emerytury – najpierw na głębokości 750 m, potem 850, a pod koniec na 950 m.

Zwraca uwagę, że w Polsce w kontekście takich inwestycji są ostre restrykcje środowiskowe i politycy muszą dopilnować, by były przestrzegane. Dodaje, że w ciągu kilkudziesięciu lat technologia wydobycia się rozwinęła, więc jeśli to ma być nowoczesna kopalnia, potrzebni będą fachowcy.

Podkreśla, że Polkowice i Lubin są przykładami tego, jak może zmienić się region, gdy powstanie kopalnia.

O potencjalnym wpływie kopalni na życie społeczne w mieście rozmawiały już w swoim gronie tutejsze organizacje pozarządowe. Jarosław Wolak jest prezesem Nowosolskiej Paczki pomagającej chorym i potrzebującym.

- To inwestycja z ogromnym potencjałem, oznacza jednak dużą ingerencję w przyrodę – podkreśla. – Będzie miała wpływ praktycznie na każdy aspekt życia. Tysiące nowych pracowników, a tych ludzi trzeba gdzieś pomieścić. Z tym się wiążą mieszkania, ochrona zdrowia, drogi. Trzeba do tego podejść z głową.

Wolak pochodzi z Lubina, więc wie, jaki wpływ na jego rodzinną miejscowość ma KGHM. Ocenia, że kombinat dobrze wplótł się w życie miasta.

- Jeżeli kopalnia Lumina Metals wplecie się tak w społeczność Nowej Soli, to być może publicznych zbiórek charytatywnych będzie mniej. Chciałbym, żeby w mniejszym stopniu były potrzebne, bo ludzie staną się zamożniejsi i będzie dużo możliwości bezpośredniego sponsoringu inicjatyw. Marzy mi się system, który opiekuje się potrzebującymi i można zwrócić się bezpośrednio po pomoc do kopalni czy firmy, która z nią współpracuje – mówi. – Mogłyby powstać fundacje celowe, bo mówimy o potężnych pieniądzach. Potrzebny jest kontrakt społeczny, w którym inwestor gwarantuje wsparcie w różnych obszarach. Żebyśmy nie byli pionkami, tylko mieli prawo głosu. Wtedy przyszłość maluje się w jasnych barwach. Bo mieszkańcy boją się, że przyjdą, wydobędą to, co mają wydobyć – i koniec.

Wolak przez dwadzieścia lat mieszkał i pracował za granicą, głównie w Londynie. Według niego kopalnia może sprawić, że ludzie będą wracać z emigracji ekonomicznej.

- Tym bardziej że jeżeli dziś myślisz o wyjeździe na stałe do Anglii, to nie masz już takich benefitów jak dwie dekady temu – zwraca uwagę. – Wtedy życie tam było tanie, człowiek zarobił i odłożył. Teraz jest inaczej.

A może zostanę górnikiem?

W PRL-u głównymi pracodawcami w Nowej Soli były dwa potężne konsorcja: Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne Dozamet i Nowosolska Fabryka Nici Odra. Nie przetrwały jednak zmian gospodarczych po 1989 r. Później w mieście królowała produkcja krasnali, ale w latach 90. bezrobocie było ogromne. Jeszcze na początku XXI w. sięgało 40 proc. Szarość i marazm. To zmieniło się w momencie, gdy powstały fabryki w strefie ekonomicznej. Dziś w skali całego powiatu stopa bezrobocia pozostaje na poziomie 8 proc.

Istnieje obawa, że w przyszłości pracownicy będą chcieli masowo przenieść się ze strefy do kopalni. Adam pracuje w jednej z fabryk. Podkreśla, że ten temat przewija się w rozmowach podczas przerw w pracy. Mówi, że sam rozważyłby zostanie górnikiem. - Gdy człowiek – strzelam – dostanie pensję wyższą o 30-40 proc., to raczej tam pójdzie. Liczę, że firmy zmienią podejście i zaczną podnosić pensje, by sobie z tym poradzić – zaznacza. - Ale jak starsi odejdą, to kto będzie uczyć młodych?

Marek też pracował w strefie. - Dla fabryk nadchodzą ciężkie czasy, tym bardziej że praca tam nie jest łatwa. Człowiek giba przy maszynie osiem godzin – podkreśla. - Ale ja nie zdecydowałbym się zostać górnikiem. Ziomek pracuje w kopalni i mówi, że to straszna robota. Generalnie jest strach.

Prof. Stanisław Speczik, dyrektor działu eksploracji Lumina Metals, mówił mi, że spółka deklaruje otwartość, jeśli chodzi o współpracę z lokalnymi firmami. - Mieliśmy spotkania, na których wyjaśniałem przedsiębiorcom, że chcemy zająć się wyłącznie produkcją koncentratu, ale całą obsługę – zaopatrzenie, dostawy, przeróbki, naprawa maszyn, produkcja sprzętu – mogą robić lokalne firmy – zapewniał. - Po co mamy to przywozić z zagranicy? Możemy nawet czerpać prąd od lokalnych producentów wiatraków, bo to najtańsza energia. Chcielibyśmy też, żeby część odpadów przedsiębiorcy przerabiali na użyteczne nawozy czy piaski.

***

Po kilku dniach wreszcie wróciłem na starą „Odrę". Pogoda już zupełnie inna – niebo niebieskie, bez jednej chmury. 23-letnia Anna czeka na koleżanki. Mruży oczy, bo nie wzięła okularów przeciwsłonecznych.

Mieszka w jednej z okolicznych wsi. Regularnie odwiedza przyjaciółkę w Lubinie, więc wie, jak wygląda życie z kopalnią po sąsiedzku.

- Tam są darmowe autobusy, szybciej dostaniesz się do lekarza – opowiada. – Wejście do zoo też jest za darmo, tak jak wiele innych rzeczy.

Zofia Skoczeń właśnie zaczęła naukę w „Ogólniaku". Mówi, że dzięki kopalni urząd miasta mógłby wprowadzić bezpłatne parkingi na terenie Nowej Soli.

- Ale nie wydaje mi się, żeby inwestycja odmieniła region nie do poznania – ocenia nastolatka. - Jeśli chodzi o młodych, na większą skalę nie zmieni ich decyzji o tym, czy wyjechać, czy tu pozostać.

Anna myśli inaczej niż Zofia. Uważa, że kopalnia może zmienić perspektywę młodych ludzi. Wylicza dobre zarobki, dodatki, pakiety socjalne. Jej wujek pracuje w hucie w Głogowie i niedawno skasował dużą premię. Według niej to wszystko sprawi, że młodzież przestanie wyjeżdżać.

- Ale praca w kopalni to też ryzyko – zwraca uwagę. – Dodatkowo w Lubinie są szkody, pękają ściany, sufity. Jest hałas, a wstrząsy czasem są takie, że obrazy spadają.

23-latka marzy o darmowym transporcie w regionie i o tym, by siatka połączeń się rozrosła. Mówi, że dla lubińskich seniorów jazda autobusem tam i z powrotem jest formą spędzania wolnego czasu. Przemierzają miasto i plotkują.

Ostatnio zapytała siostrzenicę, czego oczekiwałaby w związku z kopalnią. Dziewczynka chodzi do podstawówki i powiedziała całkiem serio, że chce, by w szkolnej toalecie zawsze było mydło, bo czasem go brakuje.

eprasa.pl 35b7964dc6

STYL ŻYCIA

Już nie tylko dziadkowie i babcie. Grzybobranie jest dzisiaj cool

Jesienią, jak co roku, Polacy ruszają w las. Ale dzisiaj zbieranie grzybów to pasja nie tylko ludzi w średnim wieku i tych trochę starszych. Dzisiaj grzybobranie jest po prostu cool. Świadczą o tym chociażby zasięgi grzybfluencerów, którzy generują wyświetlenia na poziomie największych gwiazd popkultury czy sportu

Dorota Kowalska

Nagranie sprzed kilku dni. Młoda, długowłosa kobieta stoi w środku wysokiego lasu i z uśmiechem na twarzy pokazuje dorodne borowiki. To autorka facebookowego profilu „Blondynka na grzybach".

- Muszę lecieć po auto. Tego jest tyle, że ja nie dam rady tego wynieść - mówi. - Nie wierzę. Boże, nie wierzę w to, co widzę! To, co dzisiaj przeżyłam, to po prostu marzenie każdego grzybiarza, uwierzcie mi! – dodaje podekscytowana.

Wierzymy. Grzyby są dosłownie wszędzie. Całe polany borowików: dużych, małych, okrągłych i koślawych.

„Borowikowy zawrót głowy trwa. Dwa pełne kosze mniejszych borowików szlachetnych. Drugi kosz zbierany z mamą - kilka borowików, mleczaje jodłowe, maślaki żółte, ceglastopore i kilka suchogrzybków. Udało się też znaleźć sopłówkę jodłową, lakownice (ktoś kopnął nogą i leżała - jest pod ochroną) i węża zaskrońca" – pisze potem na swoim profilu „Blondynka na grzybach".

Sezon grzybowy w pełni, więc filmik ma tysiące odsłon.

Grzybfluencerzy w natarciu

Uwielbiamy zbierać grzyby, z badań wynika, że 70 procent z nas biega po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików, maślaków, kurek, koźlaków. Mówi się nawet, że grzybobranie to narodowy sport Polaków.

Może dlatego „grzybfluencerzy" lub „grzyboinfluencerzy", jak kto woli, stali się absolutnym fenomenem polskiego internetu, generując wyświetlenia na poziomie największych gwiazd popkultury czy sportu. Raport platformy badawczej Collabot pt. „Grzybfluencerzy. Kto zbiera uwagę, kiedy Polska idzie do lasu?" dokładnie opisuje to zjawisko.

W raporcie przeanalizowano ponad 400 profili internetowych, tworząc zestawienie najbardziej wpływowych leśnych twórców. Szukano ich na Facebooku, Instagramie, TikToku i YouTube.

I tak profil „Grzybiarz w lesie" prowadzony przez Damiana Lipczyńskiego zgromadził 76,7 miliona wyświetleń w ciągu zaledwie jednego sezonu, a pojedyncze filmiki Lipczyńskiego - na przykład ten, na którym pokazuje gigantycznego prawdziwka i krzyczy „Ale gigant!" - osiągają po 5 milionów odsłon.

Popularność grzybów sprawiła, że pojawiają się kolejne profile, na których internauci pokazują swoje leśne wyprawy, największe albo najrzadsze znalezione okazy i pełne koszyki grzybowego dobra.

Piotr Grześ, znany w mediach społecznościowych jako „Grzybów Znawca" od lat opowiada swoim fanom o grzybach. Grześ przyznaje, zainteresowanie tym tematem wyraźnie rośnie.

- Celebryci zaczęli pokazywać, jak chodzą na grzyby bez wstydu. Ludzie zasypali media społecznościowe swoimi wyjściami - mówił.

Oczywiście, każdy o grzybach opowiada inaczej, co innego jest dla niego ważne. Dlatego twórcy raportu podzielili grzybfluencerów na kilka typów.

I tak „mykolog" stawia na edukację, identyfikację rzadkich okazów i merytoryczną wiedzę z pierwszej ręki. Tu wyróżniają się profile „Paweł i Grzyby" i wspomniany już „Grzybów Znawca". „Wysypiarz" – operuje bieżącymi informacjami o tym, gdzie warto wybrać się na grzybobranie, na to stawiają „Grzybiarz w Lesie" i „Grzybowy Gość". Są łowcy trofeów, jak Anna Pigiel, która w sieci pokazuje rekordowe okazy, które udało jej się znaleźć. „Leśny towarzysz" stawia na długie spacery, kontakt z naturą, relaks - o tym opowiada „Grzybowy Kapelusz". Jest też „remikser", który adaptuje tradycyjny leśny rytuał do formatów krótkiego wideo i „leśny kucharz" – ten z kolei skupia się na kulinarnym wykorzystaniu zebranego w lesie „towaru".

Co ważne, raport pokazuje pewną prawidłowość, która może cieszyć: autentyczność liczy się bardziej niż kosztowne produkcje, w każdym razie to, co prawdziwe, ma większe zasięgi niż to, co wyreżyserowane.

Osoby publiczne też zbierają

Wspomniał o tym Piotr Grześ, a więc „Grzybów Znawca": osoby publiczne zaczęły pokazywać w sieci swoje zbiory i lawina ruszyła. I tu bezsprzecznie prekursorem sieciowych relacji z grzybobrań jest Janusz Piechociński, były prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Piechociński pasję zbieractwa odziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od progu.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna – opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsca, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzózek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami" – zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną w określonych miejscach. Dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!". Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi, czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!".

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym sosnowym niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych koźlarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, szkoda było miejsca na nóżki.

Dzisiaj grzyby rozdaje, surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczków z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!". Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak powiedziała dość. Więc dzisiaj obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

Najbardziej lubi pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządza z przyjacielem. Lubi zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jest.

Czemu je w takim razie zbiera? Pasja i tyle. Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów, to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godz. 5.00, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

Ale dzisiaj relacjami z grzybobrań chwalą się w sieci Joanna Jabłczyńska, Julia Wieniawa, Agnieszka Dygant, Małgorzata Foremniak, czy Kasia Tusk.

Idealny sposób, żeby się wyciszyć

Według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. Ci, którzy zbierają grzyby, robią to przede wszystkim dla samych grzybów – tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych w badaniu przeprowadzonym przez portal Rankomat.pl. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

- Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebodźcowani, a grzybobranie to taka ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

- Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Maria Rotkiel.

Zalet zbierania grzybów jest sporo: po grzybobraniu poprawia nam się nastrój, lepiej śpimy, mamy lepszą odporność, lepsze krążenie krwi, jelita zaczynają pracować, w organizmie podnosi się poziom witaminy D3.

Nie wszystkich jednak przekonują te argumenty. Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów – taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. badanych, 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, 25 proc. nie cierpi pająków i kleszczy. Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

No cóż, każdy ma swoje ograniczenia.

Wciąż mało o grzybach wiemy

Z Tadeuszem, emerytowanym górnikiem, spotykamy się przed godz. 7.00 na granicy Tychów i Kobióra, mamy iść w stronę Promnic, bo tu ponoć lasy są „najbardziej grzybne".

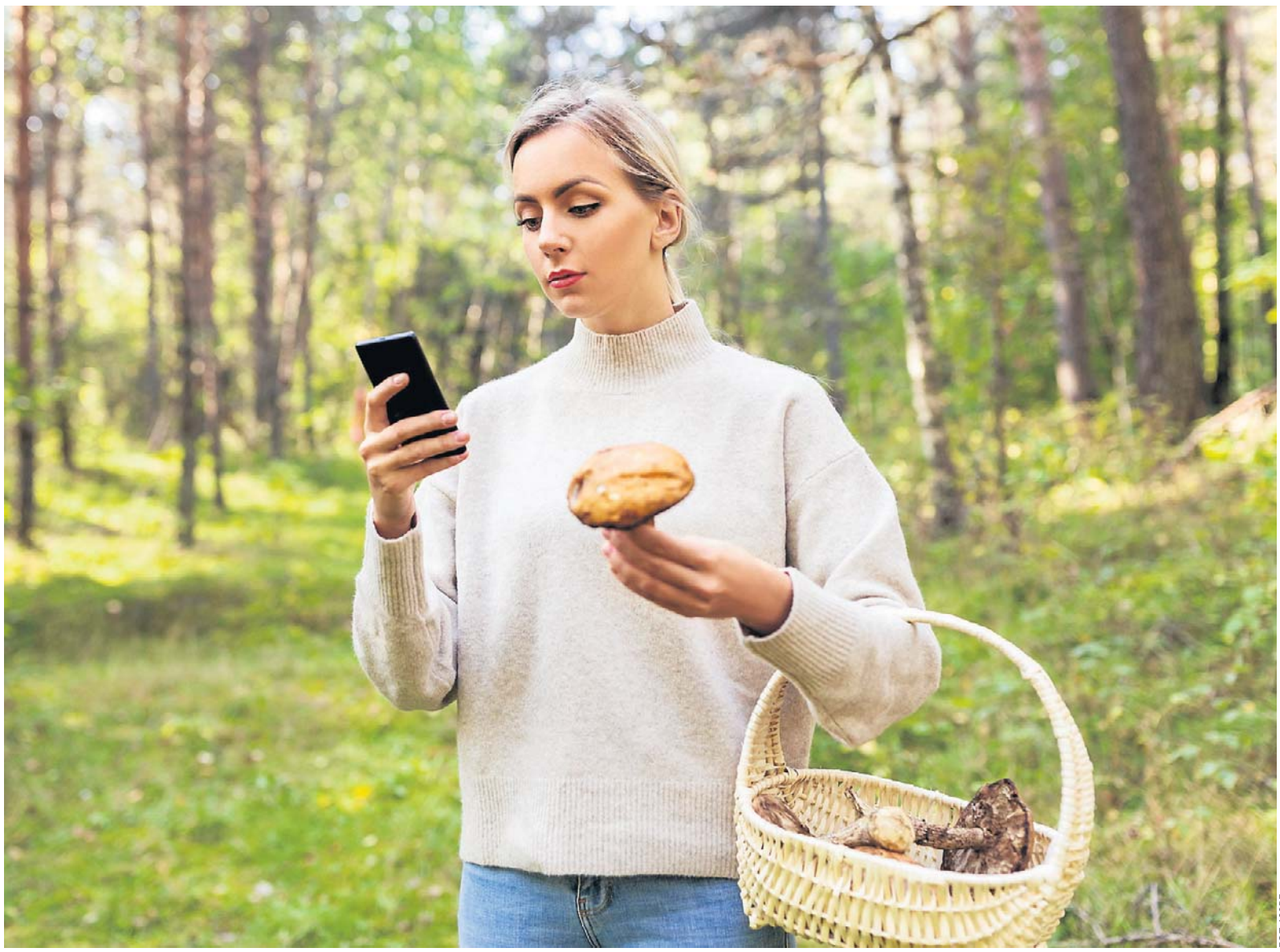
- I tak za późno się spotykamy – wita mnie ze śmiechem. On sam na grzyby wyrusza, kiedy świta.

Tadeusz, to tata znajomego, znany z tego, że grzyby zbiera cały rok. Smaży je, gotuje, suszy, marynuje, robi lecznicze nalewki. Lubi kozaki, prawdziwki, smardze, zimówki aksamitnotrzonowe, to grzyby zimowe, które zbiera do lutego, dzikie boczniaki ostrygowate, te pokazują się późną jesienią.

- W polskich lasach występuje prawie półtora tysiąca gatunków grzybów jadalnych, ludzie znają i zbierają z sześć, może siedem gatunków, wytrawny grzybiarz około czterdziestu – mówi.

Tadeusz na Śląsk przyjechał z małej miejscowości położonej w woj. świętokrzyskim. Tam wszy-

eprasa.pl 35b7964dc6



FOT. 123RF

Wielu z tych, którzy opowiadają w internecie o grzybach, tłumaczy, że czasami dobrze oderwać wzrok od telefonu i pójść do lasu

scy zbierali grzyby: trochę z zamiłowania, trochę z biedy. Pamięta swoją mamę: godzinami siedziała i czyściła kapelusze, delikatnie obierała trzonki. Grzyby musiały być czyściutkie, dopiero potem się je suszyło albo gotowało.

Lubił chodzić do lasu. Z czasem, zbieranie grzybów stało się jego pasję. Zaczął o grzybach czytać. Pamięta, jak zdobył w antykwariacie wydany w 1990 roku atlas „Nasze Grzyby" prof. Aliny Skirgiełło, jako jeden z pierwszych ilustrowany kolorowymi fotografiami grzybów, a nie rysunkami. Prawdziwy skarb. Potem były kolejne przewodniki dla grzybiarzy, ma ich w domu kilkanaście.

Idziemy powoli w stronę Zamku Myśliwskiego Promnice. Co jakiś czas mija nas rowerzysta z reklamówką zawieszoną na kierownicy.

- Grzybów nie zbiera się do reklamówek – wzdycha mój przewodnik.

Albo zza krzaka wyskakuje jakiś grzybiarz, pozdrawia wesoło i pokazuje zbiory.

- Ludzie o tym nie wiedzą, ale grzybów naprawdę trujących jest w Polsce zaledwie kilkanaście, są oczywiście grzyby niejadalne, albo powodujące lekkie zatrucia żołądkowe, ale one nie zabijają – tłumaczy Tadeusz.

Trafiamy na kilka całkiem ładnych podgrzybków rosnących jeden koło drugiego. Delikatnie wyciąga je z mchu, a potem uklepuje ten mech ręką.

- Najgroźniejszy to muchomor zielonawy, do niedawna zwany muchomorem sromotnikowym. Ma zielonawy wierzch kapelusza w różnych odcieniach w zależności od pogody i wieku owocnika. Ma przyjemny zapach, ma przyjemny smak i zabija w ciągu doby. Jeden owocnik może otruć całą rodzinę - opowiada.

Jest też muchomor jadowity, często mylony z pieczarką, jest zasłonak rudy, jest hełmówka jadowita, która często rośnie na drewnie obumarłych drzew.

Co mu daje to bieganie po lesie?

- Odpoczywam w ten sposób. Emeryci też potrzebują odpoczynku – wybucha śmiechem. - A tak na serio: cieszy mnie zbieranie grzybów, lubię je przyrządzać, lubię je jeść. No i lubię obcować z przyrodą – tłumaczy.

Poza tym, ma naturę zbieracza. Trafi w lesie na nieznanego grzyba, bo wciąż mu się to zdarza, sprawdza, co to z gatunek, czyta o nim, ile się da. Choć, jak przyznaje, takich niespodzianek spotyka w mchu coraz mniej.

Koszyki mamy prawie pełne. Podgrzybki, trochę maślaków. Będzie pyszny sos.

Urlop, żeby zbierać grzyby

I, żeby było jasne, ludzie zbierali grzyby od lat. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast, grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególne znaczenie przypisywali truflom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat - Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło, wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkukrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Dzisiaj, jak widać, pod koniec lata i jesienią niemal trzy czwarte Polaków biega po lasach w poszukiwaniu leśnych skarbów.

Niektórzy nawet urlopy planują sobie wtedy, kiedy grzybów jest najwięcej.

Krystyna prowadzi agroturystkę w woj. lubuskim. Wynajmuje gościom piękny dom porośnięty winem, bardzo klimatyczny: z kominkiem w salonie i dwoma sypialniami na piętrze. Dom leży w środku lasu, do najbliższego sąsiada jest z siedem kilometrów. W koło cisza i grzyby.

- Mam stałych gości. Od jakichś pięciu lat na cały październik domek wynajmuje małżeństwo w średnim wieku. Od rana do wieczora zbierają grzyby: suszą je, marynują, na bieżąco jedzą – opowiada. I dodaje, że po tym miesiącu gościom trudno te leśne dobra spakować do samochodu. Często musi im pożyczać kartony na słoiki i torby z suszonymi grzybami.

- We wrześniu też przyjeżdżają grzybiarze – mówi właścicielka. Dużo się od nich dowiedziała. Taki na przykład siedzuń sosnowy, zwany także szmaciakiem gałęzistym, trochę przypomina gąbkę. Występuje w lasach iglastych i mieszanych, takich jak u niej. Rośnie na korzeniach drzew iglastych, martwych i żywych. Zawsze myślała, że to grzyb trujący. Dzisiaj go zbiera, dokładnie myje, a potem smaży na masełku. Albo „Turczynki" nazywane też „Turkami", „Niemkami" albo „Kołpakami" , oficjalnie to płachetka zwyczajna. Też ją dzisiaj jada, bo goście, którzy przyjechali do niej z Poznania, zaprosili ją kiedyś ma pyszne danie z płachetki właśnie i dzisiaj sama je przyrządza.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez których grożą surowe finansowe kary.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne, niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większość (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie" pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej" nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Pasja bardzo cool

Co ciekawe, grzybfluencerzy to często ludzie młodzi, bo zbieranie grzybów to już nie jest ulubione zajęcie ludzi w średnim wieku i tych nieco starszych. Dzisiaj bieganie po lesie w poszukiwaniu borowików jest po prostu cool. Wielu z tych, którzy opowiadają w internecie o grzybach, tłumaczy, że czasami dobrze oderwać wzrok od telefonu, podnieść pupę z kanapy i ruszyć między drzewa, że warto korzystać z tego, co oferuje nam natura.

„Blondynka na grzybach" relacjonuje: „Dzisiaj las okazał się dla mnie bardzo łaskawy. Znalazłam wiele gatunków, ale zabrałam ze sobą tylko kilka, dlatego że nie mam takiej mocy przerobowej, aby to wszystko ogarnąć. Prawie cały kosz borowików szlachetnych, piękny siedzuń sosnowy, trochę podgrzybków i wzięłam kilka krasnoborowików ceglastoporych. Wczoraj późnym wieczorem znalazłam piaskowca modrzaka - jest to dla mnie wielkie trofeum, gdyż dłuższy czas go szukałam (spotykałam tylko na wystawach, a chciałam znaleźć swoje miejsce). Uważam ten dzień za udany, oby więcej takich!".

Nie ma nic lepszego, niż udany dzień.

eprasa.pl 35b7964dc6

PODRÓŻE

Wystarczy wyjść z kurortu

W bułgarskim Burgas po Giro d'Italia zostały różowe choragiewki, ale miasto już szykuje się na przyszłoroczną Eurowizję. W Nesebyrze każda epoka zostawiła po sobie kawałek miasta. W Świętym Własie Polacy urządzają sobie życie na cały rok. Bułgaria chce nas przekonać, że znamy ją gorzej, niż nam się wydaje. I ma na to argumenty

Anita Czupryn, korespondencja z Bułgarii

Jest połowa września, godzina 10.05. Wjeżdżamy na główną arterię Słonecznego Brzegu, nasza przewodniczka Magdalena Tekla przedstawia plan: najpierw punkt widokowy, później Święty Własy, następnie Nesebyr i degustacja wina.

- Jedni piją ze smutku, jedni z radości, a my pijemy przed dwunastą - zapowiada ze śmiechem. Magdalena mieszka w Bułgarii, oprowadza po niej turystów i chodzi po bułgarskich górach. O Słonecznym Brzegu opowiada bez obowiązkowego zachwytu: owszem, jest plaża, wejście do morza jest łagodne, są aquaparki, sporty wodne, no i hotele. Polacy przyjeżdżają rodzinami, z dziećmi i mogą tu wygodnie odpocząć. Tyle że trudno w ten sposób poznać cały kraj.

- Bułgaria nie jest taka oczywista. Trzeba troszeczkę wyjść z tego kurortu, rozejrzeć się i zobaczyć, co jest obok – mówi Tekla. Na przykład obok są góry. Stara Płanina, nazywana też Bałkanem, dochodzi do Morza Czarnego. Z miejsca, do którego jedziemy, widać Słoneczny Brzeg, Nesebyr i Święty Własy.

Co ciekawe, w kilku słowach przewodniczki mieści się jeden z głównych tematów Forum Biznesu Turystycznego Polskiej Izby Turystyki, który odbywa się w Słonecznym Brzegu w dniach 14–18 września, w hotelu Meliá Sunny Beach. Przedstawiciele polskiej i bułgarskiej turystyki rozmawiają o ofercie całorocznej, nowych produktach i wydłużaniu sezonu, czyli o tym, co miałoby skłonić polskich turystów do kolejnego przyjazdu do Bułgarii. Lokalizacja to jeden z najbardziej rozpoznawalnych bułgarskich kurortów, a gospodarze chcą pokazać, jak wiele można do znanego już wypoczynku dołożyć.

Forum odbywa się w Bułgarii po raz pierwszy. Łączy konferencję, prezentacje, spotkania przedsiębiorców i wyjazdy studyjne. W jego organizację zaangażowane są Polska Izba Turystyki, bułgarski resort turystyki i Narodowe Przedstawicielstwo Turystyczne w Warszawie oraz bułgarskie Stowarzyszenie Agencji Turystyki Przyjazdowej. Wśród partnerów są Meliá Hotels International i Fraport Bulgaria, operator lotnisk w Warnie i Burgas, a także MerlinX i UNIQA Polska.



FOT. MAT.PRAS.

Widok z namiotu chana

Podczas powitania obok wiceminister Marieli Modevej i Nikolaya Kostova występują Rafael Soria, starszy dyrektor do spraw franczyzy i usług w Meliá Hotels International, oraz Paweł Radoliński, sekretarz generalny PIT. Następnego dnia na konferencji prasowej dołącza Vesselin Danev, właściciel hoteli Meliá i Sol w Bułgarii i przewodniczący rady zarządzającej Bułgarskiego Związku Hoteli. W obradach uczestniczą też prezes PIT Paweł Niewiadomski, wiceprezes POT Paweł Moras i Katarzyna Turosieńska, rzeczniczka Izby.

Hotelarze, lotniska, biura podróży, państwowa promocja: przy jednym wydarzeniu spotykają się ci, od których zależy niemal cała droga turysty, od pomysłu na urlop po miejsce przy hotelowym stole.

– Postrzegamy polski rynek jako jeden z najbardziej perspektywicznych dla bułgarskiej turystyki – podkreśla wiceminister turystyki prof. Mariela Modeva.

Polscy touroperatorzy i agenci spotykają się z bułgarskimi hotelarzami i dostawcami usług. Mogą zestawić oczekiwania klientów z tym, co rzeczywiście da się zaproponować. Kilkudniowe forum zakończy wspólna uroczysta kolacja a partner wydarzenia, UNIQA Polska, funduje trzy roczne polisy rozlosowane wśród uczestników.

Po piąte: Bułgaria

Do tego, że Bułgaria istnieje, nie trzeba przekonywać polskiego turysty. Trzeba go zainteresować tym, czego jeszcze w niej nie zobaczył. W raporcie PIT „Zagraniczne wakacje Polaków 2026", prezentowanym podczas forum przez Katarzynę Turosieńską, rzeczniczkę i członkinię zarządu Izby, Bułgaria zajmuje piąte miejsce wśród kierunków wybieranych na wakacje z biurami podróży. Jest więc dobrze zadomowiona na naszej wakacyjnej mapie, tyle że najczęściej mieści się w mocno przewidywalnym zestawie: samolot, tydzień pobytu, hotel i morze. Kierunek ten wyprzedzają Turcja, Grecja, Egipt i Hiszpania.

Z danych raportu wynika, że najpopularniejsze są wyjazdy na siedem–osiem dni; all inclusive wybiera 82,2 proc. klientów. – Polacy dzielą swój wypoczynek na kilka wyjazdów w roku – zwraca uwagę Katarzyna Turosieńska. Podkreśla, że rośnie znaczenie wcześniejszego planowania oraz podróży we wrześniu, październiku, czy nawet listopadzie. Obok klasycznych wakacji jest miejsce na krótszy wyjazd, nocleg ze śniadaniem, jedzenie w mieście i zwiedzanie we własnym tempie. I właśnie o tę część naszego kalendarza Bułgaria chciałaby teraz powalczyć.

Ambicji nie ukrywa prof. Mariela Modeva, wiceminister turystyki. W 2025 roku, według bułgarskich danych, kraj przyjął ponad 460 tys. polskich turystów. Na 2029 rok cel wynosi co najmniej 800 tys. – Osiągnięcie 800 tysięcy turystów z Polski w 2029 roku jest bardzo realistyczne – mówi prof. Modeva podczas spotkania z dziennikarzami. Argumentuje, że Bułgaria przyjmuje Polaków od wielu lat, zna ich oczekiwania i ma korzystną relację jakości do ceny. Teraz chce pokazać im więcej: ośrodki zimowe, spa, miasta, kulturę, festiwale i wydarzenia odbywające się w pobliżu znanych kurortów. Do tego potrzebne są połączenia lotnicze, także poza latem, promocja i współpraca z touroperatorami.

Podczas forum rozmawiano również o rzeczach, których turysta zwykle nie widzi: zabezpieczeniach finansowych organizatorów wyjazdów, polskich doświadczeniach z Turystycznym Funduszem Gwarancyjnym i Turystycznym Funduszem Pomocowym, kontaktach między hotelami a biurami podróży.

Paweł Moras, wiceprezes Polskiej Organizacji Turystycznej, zwracał uwagę, że zainteresowanie powinno działać w obie strony. Podczas gdy Bułgaria jest tak wysoko w polskich wyborach wakacyjnych, Bułgarzy zajmują dopiero 32. miejsce wśród turystów przyjeżdżających do Polski. Według przywołanych przez niego danych w sezonie oba kraje łączy ponad 60 bezpośrednich połączeń lotniczych tygodniowo. – Jest więc przestrzeń, żeby tę dysproporcję zmniejszać. I właśnie temu służą takie spotkania – podkreślał. Przedstawił polskie doświadczenia ze współpracy z Przewodnikiem Michelin. To kolejny sposób myślenia o podróży: restauracja, lokalny produkt czy wino mogą być powodem przyjazdu, a nie tylko dodatkiem do pobytu nad morzem. Miasto, koncert, lokalne rzemiosło czy tradycja kulinarna mogą przyciągać także w marcu, kwietniu albo jesienią. Pod warunkiem że turysta dowie się o nich odpowiednio wcześnie, znajdzie połączenie i będzie mógł ułożyć z nich kilkudniowy pobyt.

Wiosna i jesień nie mają więc być wyłącznie tańszą wersją letnich wakacji. Potrzebują własnych powodów do przyjazdu. Stąd rozmawiano też o turystyce kulturowej, miejskiej, gastronomicznej i winiarskiej, a także ofercie zimowej, z Banskiem jako jednym z przykładów. Ważne, aby hotel i atrakcyjny program mógł spotkać się z dostępnym lotem.

Miasto, które nie zamyka się po lecie

W Burgas wychodzimy z Ogrodu Morskiego w stronę centrum. – Miasto żyje cały rok. To warto podkreślić – mówi przewodnik Simeon z miejskiej informacji turystycznej. Dla części przyjezdnych Burgas jest przede wszystkim nazwą lotniska na bilecie. Tymczasem można tu spędzić urlop; plaża sąsiaduje ze spacerem po parku, rowerem, kawiarnią i wieczorem w mieście. Zaletą jest dostępność miejskiej plaży: można przyjść, rozłożyć koc i zostać. Za leżak już trzeba zapłacić.

Park i nadmorska promenada sprzyjają spacerom i bieganiu. W okolicy znajdują się jeziora, które otaczają Burgas. Jezioro Atanasowskie to płytka, słona laguna z salinami, kanałami i mokradłami. Leży na trasie wędrówek ptaków, w tym naszych bocianów, lecących do ciepłych krajów na zimę, tak zwana Via Pontica. Tu można obserwować

eprasa.pl 35b7964dc6

ptaki migrujące, zimujące i gniazdujące. Dla kogoś zainteresowanego przyrodą jest to zupełnie inny powód, żeby przyjechać nad Morze Czarne. Sezon wyznaczają wtedy także przeloty ptaków.

Ale Burgas ma już doświadczenie w przyciąganiu uwagi poza sezonem plażowym. W maju 2026 roku w Bułgarii rozpoczął się Giro d'Italia. Pierwszy etap prowadził z Nesebyru do Burgas; trzy pierwsze dni wyścigu odbyły się na bułgarskich drogach. – Miasto było różowe od chorągiewek. To naprawdę robiło wrażenie – wspomina jedna z naszych przewodniczek. Podczas wrześniowego spaceru nadal widać ślady tamtego wydarzenia. Teraz Burgas przygotowuje się do Eurowizji. W maju 2027 roku konkurs odbędzie się w Arenie Burgas. Dla turystyki znaczenie ma właśnie miesiąc: jeszcze przed szczytem letnich przyjazdów, gdy baza noclegowa regionu nie jest w pełni wykorzystana. Radovesta Stewart, kierująca w Burgas miejską jednostką odpowiedzialną za turystykę, mówi o oczekiwaniu na co najmniej 50 tys. gości. Korzyści mają objąć także okoliczne miejscowości, w których przyjezdni znajdą noclegi.



FOT. MAT.PRAS.

Nesebyr

Każda epoka zostawiła swój ślad

Stary Nesebyr leży na skalistym półwyspie. Ma ponad trzy tysiące lat historii,; od 1983 roku znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Zanim stał się grecką kolonią, istniała tu osada tracka. Później kolejne epoki dodawały własne budowle, przebudowywały wcześniejsze, zostawiały fundamenty, świątynie i fortyfikacje. Charakterystyczne drewniane domy należą do znacznie młodszej, dziewiętnastowiecznej warstwy tego krajobrazu. Nesebyr jest dawną Mesembrią. Przewodniczka przypomina, że w starożytności greckie miasta zakładały kolonie, szukając nowych miejsc do życia i handlu. Tutejsza historia sięga jednak jeszcze dalej, do Traków, których dziedzictwo jest ważną częścią bułgarskiej tożsamości. Później miasto odgrywało ważną rolę w świecie bizantyjskim. O jego znaczeniu przypominają zachowane średniowieczne cerkwie i ruiny świątyń.

Na małej przestrzeni spotykam niezwykłe nagromadzenie epok. Południowe wybrzeże Bułgarii od dawna było miejscem spotkań kultur, wymiany i kolejnych przemian. Morze, nad które dziś przyjeżdża się odpocząć, przez stulecia otwierało miasto na świat. – Każda epoka zostawiła tu swoje ślady – mówi przewodniczka. – Nie możemy powiedzieć, że to jest zabytek tylko z jednego czasu i na tym kończy się historia. Toczy się opowieść o Trakach, Grekach, Rzymianach, Bizancjum, państwie bułgarskim i panowaniu osmańskim.

Kurort zbudowany od podstaw

Kolejnego dnia przewodniczka Magdalena Tekla w Słonecznym Brzegu cofa nas do końca lat pięćdziesiątych. Proponuje wyobrazić sobie miejsce, w którym zamiast dzisiejszej zabudowy były drzewa, wydmy, podmokły teren i dzika roślinność. Kurort powstawał według państwowego planu, rozwijał się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kolejny przełom przyniosły lata dziewięćdziesiąte: prywatyzacja, inwestycje i szybka rozbudowa. Dzisiejszy widok pokazuje skalę tej zmiany. Tekla mówi o największym bułgarskim kurorcie nad Morzem Czarnym, ale na pytanie, czy także najładniejszym, nie daje odpowiedzi. Sama woli mniejsze miejscowości. Wymienia Świętych Konstantyna i Helenę, Albenę, a na południu Primorsko, Achtopol i Carewo.

Słoneczny Brzeg ma za to zalety, które dla wielu rodzin będą rozstrzygające: ciągnąca się przez około osiem kilometrów piaszczysta plaża, wydmy w jej środkowej części i łagodne zejście do wody. Do tego aquaparki, deski SUP, sporty wodne, jachty i katamarany pływające po Zatoce Nesebyrskiej. Dla rodziców ważne jest, że na stosunkowo niewielkim obszarze można zorganizować dzieciom bardzo różne dni. A jeśli chce się zobaczyć coś innego, to Nesebyr jest blisko. Podobnie Święty Własi wzgórza, z których kurort wygląda zupełnie inaczej niż z poziomu leżaka.

Więcej niż niska cena

Polski turysta się zmienił. Coraz częściej wybiera obiekty cztero- i pięciogwiazdkowe. Sekretarz generalny PIT Paweł Radoliński wskazywał na dopasowanie bułgarskiej oferty do polskich potrzeb: hotele odpowiedniej klasy, all inclusive, możliwość wynajęcia samochodu i poziom obsługi. Podczas forum przywołano też wymowną proporcję: na jedną rezerwację przypada przeciętnie około 2,63 osoby, a w przypadku Bułgarii około 2,9. To jeden z sygnałów jej rodzinnego charakteru.

Przewodniczka Magdalena Tekla widzi zmianę także podczas codziennej pracy. Uważa, że najwyższy czas pożegnać obraz Bułgarii zatrzymany w socjalistycznych wspomnieniach. Przybyło dobrych hoteli, a goście zwracają uwagę również na ich podejście do środowiska. Nie znaczy to, że cena przestała mieć znaczenie. Podczas konferencji prasowej wraca pytanie o podwyżki po przyjęciu euro. Wiceminister Modeva mówi o ponad 40 tys. kontroli, współpracy instytucji i przeciwdziałaniu nieuzasadnionemu podnoszeniu cen. Podkreśla, że resortowi zależy na utrzymaniu relacji między kosztem pobytu a jakością tego, co otrzymuje turysta. Bułgaria chce przyciągać standardem, różnorodnością i doświadczeniami, a cena ma być jednym z argumentów.

Sąsiedzi na cały rok

Do Świętego Własu jedziemy z Magdaleną Teklą. Wcześniej zatrzymujemy się przy restauracji Chanska Szatra, której nazwę przewodniczka tłumaczy jako „Namiot Chana". Stylizowane wnętrze nawiązuje do średniowiecznych władców Bułgarii, ale sam obiekt jest współczesny. To miejsce pokazów, kolacji i wieczorów bułgarskich. Podobno bywał tu jeszcze Jaruzelski. Tym razem równie ważny jak wnętrze jest widok na wybrzeże. Widać, jak blisko siebie leżą rozbudowany Słoneczny Brzeg, zabytkowy Nesebyr i mniejszy Święty Własi.

W Świętym Własie oglądamy marinę Dinevi. Przewodniczka zwraca uwagę na chodniki, lampy, porządek, inwestycje, które zmieniły miejscowość. W jej ocenie jest tu kameralniej niż w Słonecznym Brzegu, ale też drożej. Przypomina, że Święty Własi otrzymał prawa miejskie w 2006 roku. Dzisiejszy charakter miejscowości wiąże z inwestycjami braci Dinevi, od których nazwiska pochodzi nazwa mariny. Port jachtowy stał się jednym z symboli tego miejsca, podobnie jak apartamentowa zabudowa między wybrzeżem a stokami Starej Płaniny. W rozmowie wraca wyróżnienie Błękitna Flaga, które dotyczy plaż oraz marin. Magdalena Tekla wyjaśnia, że za samym znakiem stoją wymagania związane między innymi z jakością wody, bezpieczeństwem i infrastrukturą. Dla turysty to praktyczna informacja o miejscu, w którym zamierza spędzać czas.

Tu Polacy chętnie kupują apartamenty. Część przyjeżdża tylko latem. Inni zostają na cały rok, prowadzą firmy, zajmują się nieruchomościami, urządzają sobie codzienność.

Góry widziane z plaży

Kiedy rozmowa schodzi na górskie wędrówki, i pojawia się sugestia, że w Bułgarii brakuje schronisk, Magdalena Tekla zaprzecza: – Nieprawda, absolutnie się z tym nie zgadzam. Chodzę po górach, ostatnio weszłam i na Musałę, i na Wichren. Są schroniska, można w nich nocować, można zjeść – mówi. Wymienia Riłę, Piryn, Rodopy, Strandżę, Starą Płaninę. Opowiada o wędrówkach dzielonych na etapy, zaplanowanych noclegach, trasach dobieranych do kondycji grupy. Sama chodziła po Himalajach, a mimo to bułgarskie góry ją zaskoczyły. Szlak Kom–Emine, prowadzący przez Starą Płaninę od zachodniej części kraju ku przylądkowi Emine nad Morzem Czarnym. to propozycja wielodniowej wędrówki. Tekla podkreśla, że takie przejścia można planować z noclegami w schroniskach i pomocą organizatorów znających trasę. Jednak w czasie naszej wizyty nie wyruszamy na wysokogórski szlak. Góry są obecne w krajobrazie i w opowieściach. Podobnie jak dzikie plaże dalej na południe, w stronę granicy z Turcją, o których przewodniczka mówi z osobistym upodobaniem. Wspomina okolice ujścia Weleki, miejsca, gdzie przyroda jest bliżej niż rzędy leżaków. – Są miejsca naprawdę perełki, z pięknymi dzikimi plażami – mówi. Opisuje szerokie plaże i miejsca, w których droga biegnie między morzem a terenami przyrodniczymi.

Podczas forum wielokrotnie wracał temat lotów poza sezonem. Można mieć góry, zabytki, wino i uzdrowiska, ale turysta musi jeszcze móc do nich dotrzeć.

Na razie Bułgarię można zacząć poznawać od rzeczy najmniejszych. Choćby od kawy. Tekla opowiada o automatach z kawą, które stoją niemal wszędzie: przy sklepach, na przystankach, na autostradzie, wkomponowano je nawet w starą zabudowę Nesebyru. Za około pięćdziesiąt eurocentów da się kupić całkiem dobrą kawę. Najczęściej espresso, bo taki tu jest codzienny wybór. Ponieważ Bułgarzy kawę piją małą, ale za to długo.

eprasa.pl 35b7964dc6

GWIAZDA TYGODNIA

Maria Dębska: Aktorstwo jest dla mnie sposobem na to, by się mniej wstydzić w życiu

Oglądamy ją w kinach jako Kazimierę Wąsowską w „Lalce", a w serwisie streamingowym Sky Showtime w serialu „Pionek". Na premierę czeka poruszający film „Przez ścianę", w którym zagrała główną rolę. Nam zdradza, co sprawia, że ciągle odczuwa wielką radość z pracy na planie

Paweł Gzyl

Według wszelkich badań najchętniej oglądanymi serialami i filmami w serwisach streamingowych są thrillery. Ty też lubisz tego rodzaju opowieści z dreszczykiem?

Kiedyś mniej, teraz dużo bardziej. Może dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch lat zrobiłam trzy kryminały. Obecnie lubię dobre thrillery i sprawia mi przyjemność kombinowanie, kto i dlaczego stoi za intrygą. Myślę, że ludzie kochają te gatunki, bo one wyjątkowo silnie związują widza z opowiadaną historią. O ile jest to dobrze skrojone, chcemy się dowiedzieć co będzie w następnym odcinku. Mamy na to swoje scenariusze i ciekawi nas czy mamy rację.

Pierwszą główną rolę w thrillerze zagrałaś dwa lata temu w „Ślebodzie". To była ekranizacja książki autorstwa Małgorzaty i Michała Kuźmińskich. Co znalazłaś ciekawego dla siebie w tej opowieści, że dałaś się wyciągnąć na plan aż w Tatry?

Bardzo ucieszyłam się, że dostałam tę rolę. Castingi trwały długo i od razu wiadomo było, że będzie więcej sezonów niż jeden. Sam projekt wydał mi się ciekawy, a poza tym nigdy nie grałam tego typu bohaterki. Po roli w filmie „Bo we mnie jest seks" dostawałam propozycje wcielenia się w podobne postaci do Kaliny Jędrusik. Nie chciałam się powtarzać, więc bardzo mało grałam, bo odmawiałam. Kiedy pojawiła się „Śleboda", pomyślałam, że ciekawie będzie zagrać introwertyczną dziewczynę, która musi się przełamać, dla której wiele rzeczy, które dla moich poprzednich bohaterek były jak pstryknięcie palcem, jest trudnych. Z bogatym życiem wewnętrznym i jakąś raną w sercu. Szukałam jednak małych momentów, kiedy jej siła dochodzi do głosu. Żeby widz zobaczył jej zmaganie – że chciałaby, ale się boi i wreszcie się odważa. Dopiero jednak w „Pionku" dostałam to, co chciałam: Anka jest bardziej odważna, dużo więcej ryzykuje.

Trudno ci było początkowo wgryźć się w taką introwertyczną postać?

Taka energia w dużej mierze jest mi bliska. Z jednej strony jestem energiczna, potrzebuję ludzi do życia, jestem bardzo społeczną osobą, a z drugiej – dużo we mnie nieśmiałości i zawstydzenia. Aktorstwo jest dla mnie często sposobem na to, by się mniej wstydzić. I tutaj mogłam dotknąć tego w sobie. Bardzo nie lubię się powtarzać i nie kręci mnie granie podobnego typu postaci przez wiele lat. W „Ślebodzie" pracowałam wreszcie na subtelnych nutach.

Anka Serafin to detektyw z przypadku. Bo tak naprawdę jest antropolożką, ale jej wiedza pomaga rozwiązywać kryminalne zagadki. To pewna nowość w tym gatunku. Miało to dla ciebie znaczenie?

Na pewno. Chociaż bardzo chętnie zagrałabym też w pełni profesjonalną policjantkę. (śmiech) Anka, choć w ogóle się o to nie prosi, zostaje wrzucona w sam środek kryminalnej akcji. Ale to interesujące. Wpada do kotła wydarzeń i powoli przejmuje inicjatywę. Zawsze starałam się znaleźć ten moment, kiedy Anka przełamuje się, by mocno zbudować jej przebieg, dlaczego to robi, wchodzi w śledztwo i zaczyna mieć wpływ na bieg akcji.

Na potrzeby „Ślebody" rozpracowałaś już swoją bohaterkę – czy to znaczy, że wchodząc na plan „Pionka", łatwiej ci było stać się Anką Serafin?

To było ciekawe doświadczenie, ponieważ po raz pierwszy grałam tę samą postać, ale w zupełnie nowych okolicznościach. Śmialiśmy się z reżyserem, że dostałam „Ankę po terapii". Miałam bowiem wrażenie, że moja bohaterka pewne rzeczy w sobie wreszcie przerobiła. Minął jakiś czas. Niby pierwsza scena jest podobna: ojciec przekreśla jej plany o wymarzonym wyjeździe za granicę i wysyła ją na Śląsk. Potem jednak Anka bierze sprawy w swoje ręce. Takie przełamanie bohaterki jest bardzo ciekawe: nagle zaskakuje siebie i widza – i ryzykuje.

Tym razem Anka trafia na Śląsk i jest to znacznie mroczniejsza sceneria niż Tatry. Jak się tam czułaś?

Kręciłam już wcześniej kilka razy na Śląsku, ale tym razem miałam okazję zanurzyć się w jego klimat głębiej. I zachwyciłam się nim: z jednej strony jest bardzo nowoczesny, a z drugiej – blisko tradycji. Momentami mroczny, a kiedy indziej jakby baśniowy. Dlatego uważam, że to lepsze miejsce na kryminał niż Tatry, choć góry też miały swój urok.

I tym razem życie prywatne Anki mocno splata się z kryminalną intrygą. Takie ustawienie tej opowieści było dla ciebie atrakcyjne pod kątem aktorskim?

Tak. Staraliśmy się to trochę podkręcić. Anka doszła do momentu, w którym woli żałować, że coś zrobiła, niż nie robić nic i żałować, że się wycofała. Nawet jeśli się pomyli, chce działać. W efekcie dzieje się coś zaskakującego – kompletnie traci głowę dla chłopaka, z którym chyba nigdy byśmy jej nie połączyli. Nagle okazuje się, że Ankę zachwyca coś, czego ona nie ma i bardzo ją to uwodzi. Na początku nie zdaje sobie sprawy, że pójdzie za tym impulsem. Kiedy spotyka się pierwszy raz z Gerardem, myśli: „Nie chcę czuć, więc przeżyję coś mocnego, może w ten sposób stłumię swój ból". Ale potem on naprawdę zaczyna ją fascynować i Anka, nie tracąc nic ze swej delikatności, staje się postacią sprawczą, bo podejmuje decyzje. To było dla mnie tutaj najciekawsze. Że instynkt wyprzedza naszą głowę, a my za tym idziemy.

A nie masz wrażenia, że Anka zakochuje się w tym śląskim „bad boyu", aby zrobić na złość ojcu?

Być może chce samej sobie pokazać, nawet w taki trochę nastoletni sposób, że nie pozwoli się ojcu upupić. Uważam, że zachowuje się tak, bo coś się w niej przelało i robi to dla siebie.

Między tobą a Mateuszem Rozwadowskim faktycznie iskrzy na ekranie. Jak się uzyskuje taką przysłowiową „chemię"?

To było spore wyzwanie, bo nie znaliśmy się wcześniej. Mateusz był trochę „nowy w klasie", bo my z większością ekipy i twórców znaliśmy się z pierwszego sezonu. To nigdy nie jest łatwe, ale poradził sobie wspaniale. Jesteśmy Mateuszem po łódzkiej filmówce, więc mieliśmy sporo wspólnych tematów na start. Myślę, że dość szybko sobie zaufaliśmy i bardzo dobrze się nam pracowało.

Anka tworzy również barwną parę z Bastianem, a ich relacja ma momentami nawet komediowy charakter. Dobrze bawiliście się z Maćkiem Musiałem we wspólnych scenach?

Uwielbiam Maćka, znamy się dobrze, więc to była przyjemność. W „Ślebodzie" jego Bastian był tym kimś motywującym do odważnego śledztwa, działającym szybciej niż pomyśli. Tymczasem w „Pionku" nagle role trochę się odwracają i to Anka zaczyna przeć do przodu.

Anka musi stanąć na Śląsku twarzą w twarz z seryjnym zabójcą – wampirem z Szombierek. Grając te sceny z Łukaszem Simlatem, inspirowaliście się trochę pamiętnymi scenami z „Milczenia owiec"?

Anka, opętana uczuciem do Gerarda, zaczyna podejrzewać, że to on może stać za nowymi morderstwami. Decyduje się więc na wizytę u Pionka, aby upewnić się, że to nie on jest naśladowcą wampira z Szombierek. Bardzo się cieszyłam na to spotkanie, bo zawsze chciałam zagrać z Łukaszem. To nie były łatwe sceny, ale świetnie się nam razem pracowało.

Anka Serafin to pierwszoplanowa bohaterka „Ślebody" i „Pionka". Lubisz, kiedy w serialu lub w filmie to na tobie spoczywa prowadzenie całej akcji?

Lubię. Choć umiem się też znaleźć w innych okolicznościach, kiedy jestem na drugim planie. Grając główne role, nie stresuję się tą większą odpowiedzialność. Odbieram to raczej jako cudowny i motywujący ciężar.

A jak podchodzisz do roli drugoplanowej – czyli takiej, jaką grasz teraz w „Lalce"?

Kazimiera Wąsowska była moją ulubioną postacią powieści Prusa, więc to była ogromna przyjemność ją zagrać. Drugoplanowe role bywają często dużo wdzięczniejsze dla aktorów. Kazia jest mięsista, intensywna, wyrazista. Dostałam więc fantastyczny materiał w scenariuszu.

Powiedziałaś o niej w jednym z wywiadów, że jest „wyemancypowaną, współczesną kobietą". Odpowiadał ci taki rys tej bohaterki?

Wąsowska jest antagonistką swoich czasów, zna rządzące nimi zasady i potrafi być panią swego losu. Żyje pełnią życia, zmienia kochanków jak rękawiczki i imprezuje na całego. Najciekawsze było jednak dla mnie to, że w pewnym momencie następuje w niej pęknięcie – jest niezależna, nad wszystkim panuje, ale nagle niespodziewanie się zakochuje i traci głowę dla Wokulskiego.

Myślisz, że taka postać będzie bliska współczesnym kobietom?

Na pewno. To najbardziej współczesna postać w „Lalce". Jest tak napisana przez Prusa, że jej kwestie z książki, można by włożyć w usta współczesnym postaciom.

Twoim partnerem w roli Wokulskiego jest „nasz człowiek w Hollywood" – czyli Marcin Dorociński. Jak wspominasz waszą współpracę?

Wspaniale. To była ogromna przyjemność. Kiedy pierwszy raz przeczytałam scenę, w której Wąsowska ściga się konno z Wokulskim i wygrywa, pomyślałam: „Och, trzeba będzie być twardą partnerką dla tego zawodnika". (śmiech) Szybko się zrozumieliśmy z Marcinem, czułam, że możemy sobie wszystko powiedzieć i wspólnie bawić się budowaniem relacji naszych bohaterów.

Największe emocje budzi na pewno wspomniana

eprasa.pl 35b7964dc6

scena wyścigu konnego Wąsowskiej z Wokulskim. Jak sobie w niej poradziłaś?

Chciałam zagrać ją sama, ale nie było to możliwe, bo nie mogliśmy jeździć w kaskach. Taki galop, a momentami wręcz cwał, byłby bez kasku zbyt niebezpieczny. Trochę więc pomogli nam dublerzy, ale większość zagraliśmy jednak sami. Dwa miesiące przed rozpoczęciem zdjęć zaczęłam trenować jazdę konną i absolutnie się w niej zakochałam. Cieszę się, że dostałam taką szansę i mogłam nauczyć się czegoś nowego.

Kinowa „Lalka" ma wyjątkowo gwiazdorską obsadę. Miało to wpływ na atmosferę pracy na planie?

Czułam, że powstaje coś wyjątkowego. Kilka moim marzeń odnośnie aktorskich spotkań, zostało na tym planie spełnionych. Kiedy tuż przed rozpoczęciem zdjęć zobaczyłam listę obsady, poczułam czystą wdzięczność. Bo człowiek ciągle pracuje, nieustannie pędzi, skupia się na kolejnym zadaniu, a tu dzieje się coś, co jest naprawdę magiczne.

Wiedzieliście, że powstaje również serial na podstawie „Lalki". Rozmawialiście o tym na planie?

Wiedzieliśmy, ale za bardzo o tym nie rozmawialiśmy. Skupialiśmy się na naszym zadaniu.

W serialu „Lalka" rolę Wąsowskiej gra Magda Cielecka. Miałaś już okazję zobaczyć jej wersję swojej bohaterki?

Jestem wzruszona i zaszczycona, że gram tę samą bohaterkę co Magda. Bo uwielbiam ją! Kiedy przez ostatnie miesiące wpadałyśmy na siebie na mieście, zawsze padało: „Kazia, to ty?". (śmiech) I oczywiście mam zamiar zobaczyć niebawem serial z Magdą.

Ponoć rola w klasycznym kostiumowym filmie to marzenie każdej aktorki. Rzeczywiście to coś wyjątkowego?

Kocham historyczne kino i uwielbiam grać w kostiumie. Kiedy kończyłam szkołę aktorską, marzyłam o tym, aby grać w teatrze w klasycznych sztukach. Bardzo dobrze się w tym czułam – w Czechowie czy w Dostojewskim. Potem zdarzyło mi się kilka razy grać w historycznych filmach i za każdym razem miałam z tego wręcz dziecięcą radość.

Na niedawnym festiwalu w Gdyni Złote Lwy zdobył inny film z tobą w roli głównej - „Przez ścianę". Tym razem musiałaś się przenieść do czasów stalinowskich. To była wyjątkowo mroczna podróż?



FOT. FOT. HARRY LIVINGSTONE / MAT.PRAS.

Maria Dębska: Kocham historyczne kino i uwielbiam grać w kostiumie. Kiedy kończyłam szkołę aktorską, marzyłam o tym, aby grać w teatrze w klasycznych sztukach

Tylko w małej części. Reżyser Maciek Sobieszczański zaproponował mi tę rolę na długo zanim odbyły się zdjęcia. Kiedy poznałam tę historię, byłam niesamowicie poruszona i za każdym razem, gdy później czytałam scenariusz w całości, nie mogłam powstrzymać łez wzruszenia. To, że miłość rodzi się w stalinowskim więzieniu i ratuje ludzi przed poddaniem się złu, sprawia, że ten film zamienia się we wręcz laboratoryjny ekstrakt miłości. Aż trudno uwierzyć, że w miejscu, gdzie było tyle cierpienia i śmierci, naprawdę wydarzyło się coś takiego. Nasz film jest oparty na autentycznej historii Wiesławy Pajdak i Jerzego Śmiechowskiego, osadzonych w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie. I tam pojawia się coś takiego. To wprost niewiarygodne, że to prawdziwa historia. Nie jest to więc film, który pokazuje ciężką stalinowską rzeczywistość, ale raczej opowieść o wolności i miłości. Dlatego ta rola była spełnieniem moich marzeń.

Co znalazłaś bliskiego sobie w dziewczynie, żyjącej w zupełnie innym świecie i w innych czasach?

Wiesia była więźniem politycznym, wielokrotnie próbowano ją złamać, torturowano, doświadczała strasznych rzeczy. Miała jednak kręgosłup moralny, którego nie dało się złamać. Patrzę więc na nią z szacunkiem i podziwem. Jeśli chodzi o mnie, na pewno tak jak Wiesia potrzebuję jak tlenu drugiego człowieka do życia. Złości mnie też niesprawiedliwość i nie mam na nią zgody. Historie, z którymi rezonuje „Przez ścianę", chodziły za mną od dawna. Jednym z moich ukochanych filmów jest „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego, które rozłożyłam w szkole filmowej na części pierwsze i pracowałam na zajęciach nad pochodzącymi zeń scenami. W moim spektaklu dyplomowym grałam tytułową rolę w „Marii Stuart". To opowieść o królowej Szkocji, uwięzionej przez swoją siostrę i skazanej na śmierć, z podniesioną głową czekającą na wykonanie wyroku. „Przez ścianę" to dla mnie opowieść o jednostce, która potrafi się przeciwstawić złu miłością i dzięki temu udaje jej się przetrwać.

Twoja bohaterka zostaje osadzona w więzieniu i nawiązuje kontakt z innym więźniem za pomocą alfabetu Morse'a. W efekcie z czasem zakochują się w sobie. Jak to możliwe?

Dzisiaj ludzie porozumiewają się e-mailami i SMS-ami – i też potrafią się w sobie zakochać. Oczywiście widzą swoje zdjęcia, ale też nie mają osobistego kontaktu. Pomiędzy bohaterami naszego filmu narodziło się naprawdę głębokie uczucie. Przez ścianę się poznali, pokochali i zaręczyli. Potem wzięli ślub w więzieniu, a po jego opuszczeniu, byli ze sobą razem przez pół wieku aż do śmierci.

Twoim partnerem w tym filmie jest Jakub Gierszał. Trudno było wam zagrać narodziny miłości przez ścianę?

To było dla nas duże wyzwanie. Opowiadamy bowiem tę historię poprzez moją bohaterkę – i widz nie widzi Jurka przez długi czas. Zobaczy go dopiero wtedy, kiedy zobaczę go ja, czyli Wiesia. Mieliśmy więc z Kubą bardzo mało wspólnych scen. Wspaniałe jednak było to, że podczas kręcenia tych sekwencji, w których stukam w ścianę alfabetem Morse'a, Kuba przyjeżdżał na plan na Śląsk, siadał obok kamery, stukał do mnie naprawdę i szeptał. To było bezcenne i cieszę się, że reżyser i produkcja wymyślili to tak, że choć filmowego Jurka nie widać w kadrze, to jednak cały czas był ze mną.

Wiesia przechodzi w więzieniu wycieńczające tortury. Jak poradziłaś sobie z tą rolą od strony fizycznej?

Zdjęcia zostały podzielone na dwie części. W pierwszej Wiesia przychodzi do więzienia zdrowa i silna, musiałam więc trochę przytyć. Potem dostałam cztery miesiące na schudnięcie. Nie pracowałam w tej przerwie nad innymi projektami, byłam całkowicie skupiona na przygotowaniach do „Przez ścianę". Schudłam sześć czy siedem kilo - i pomogło mi to w budowaniu drugiej części podróży Wiesi. Czułam się słaba, zirytowana, jakby za szybą. Do tego kręciliśmy w opuszczonych więzieniach, często wiele godzin spędzałam w ciemnych i zimnych pomieszczeniach. Co ciekawe: to przy tym filmie po raz pierwszy zapytano mnie czy potrzebuję pomocy psychologicznej. Są tu mocne sceny przemocy i koordynatorka scen intymnych, Marta Zygadło, powiedziała mi: „Twoje ciało myśli, że to prawda. Nawet jeśli ktoś uderza cię pałką ze styropianu". Zadbałam więc o siebie od tej strony – i to było super.

Zagranie w takiej mrocznej historii na pewno było trudnym doświadczeniem. Trudno ci było zostawić ją za sobą?

Spędzaliśmy na planie wiele godzin w ciemności, dlatego mieliśmy zalecenie, aby wychodzić co jakiś czas na słońce, żeby nie zwariować. Nigdy wcześniej nie weszłam tak głęboko w żadną rolę, przez osiem miesięcy robiłam tylko ten film. Mam jednak poczucie, że tym razem bardzo się sobą zaopiekowałam. Choć na pewno bardzo dużo mnie to kosztowało. Zostawiłam na tym planie całe serce. Dużo zawdzięczam Maćkowi Sobieszczańskiemu. Po zakończeniu zdjęć, powiedziałam mu: „Czuję, że mogę skoczyć w przepaść, bo wiem, że mnie złapiesz". Bo tak naprawdę się czułam. Poza tym, wszystkich nas niosła miłość, która wypełnia każdy kadr tego filmu.

Właściwie każda twoja rola jest inna. Wcielasz się w różne bohaterki w różnych czasach. Rozwijasz się przez to jako aktorka?

Uwielbiam tę zmienność. Przychodzą do mnie różne propozycje. Czasem nie przychodzą żadne. I to bardzo długo. Czasem takie, których nie czuję. Zdarza się, że nie chcę wchodzić w jakiś projekt, bo wiem, że już zagrałam coś bardzo podobnego i to kilka razy. Nie chcę się powtarzać, w każdej roli szukam czegoś nowego. To ogromne szczęście, że mam teraz trzy tak różniące się od siebie projekty. To kumulacja premier, nad którymi pracowałam przez ostatnie dwa lata.

W jednym z wywiadów powiedziałaś: „Wciąż mam ogromną, dziecięcą frajdę z grania, umiem się tym bawić". Co sprawia, że zachowujesz taką radość z pracy?

Na pewno to, że właściwie do każdego projektu muszę się nauczyć czegoś nowego. Na potrzeby „Lalki" zaczęłam jeździć konno. Zagrałam też na fortepianie „Etiudę rewolucyjną" Chopina, do której musiałam ćwiczyć wcześniej przez cztery miesiące. Do „Przez ścianę" nauczyłam się z kolei alfabetu Morse'a, musiałam się też mocno wyciszyć, była to więc ciekawa szkoła bycia samej z sobą. Często robię sobie też przerwy w pracy, żeby czytać, oglądać, inspirować się i żeby po prostu pożyć. Nawet, jeśli boję się, że nie nadejdą kolejne propozycje. Bo życie samo w sobie bywa ciekawsze niż film.

eprasa.pl 35b7964dc6

FILM

Co jadali dyktatorzy i kto im gotował?

12 października warszawska publiczność zobaczy w kinie Atlantyk (godz. 21:00) amerykański film dokumentalny „Jak nakarmić dyktatora" („How to Feed a Dictator"), zrealizowany na podstawie międzynarodowego bestsellera polskiego reportera Witolda Szabłowskiego. To opowieść o Saddamie Husajnie, Idi Aminie, Pol Pocie, Augusto Pinochecie i Kim Dzong Ilu widzianych z perspektywy ludzi, którzy znajdowali się niezwykle blisko nich – ich osobistych kucharzy. W amerykańskiej produkcji nie brakuje również bardzo wyraźnego polskiego śladu

Jacek Pałkiewicz

Historię dyktatur zazwyczaj opowiada się poprzez wojny, zamachy stanu, egzekucje, więzienia, tajną policję i tłumy zmuszane do wiwatowania na cześć wodza. Andrew Neel proponuje inne drzwi do tego świata. Prowadzą nie przez salę narad, gabinet prezydencki czy bunkier, ale przez kuchnię.

Bo nawet najbardziej krwawy dyktator musi jeść.

Musi rano wypić kawę albo herbatę, mieć swoje ulubione potrawy, grymasić, czekać na obiad. Ktoś musi obrać dla niego warzywa, przyprawić mięso, postawić talerz na stole. I właśnie ten człowiek – kucharz – znajduje się czasem bliżej władcy niż generałowie i ministrowie. Słyszy rozmowy, widzi jego nastroje, poznaje przyzwyczajenia. Wie, czego dyktator nie lubi, czego się boi i co zamawia po dniu, w którym być może decydował o życiu i śmierci innych ludzi.

W tej perspektywie tkwi siła „Jak nakarmić dyktatora".

Film oparty został na książce Witolda Szabłowskiego, wydanej także pod tytułem „Kucharze dyktatorów", która znalazła czytelników daleko poza Polską. Reporter zrobił rzecz pozornie prostą, a w istocie niezwykle trudną: zamiast po raz kolejny opowiadać biografie dyktatorów, odnalazł ludzi przygotowujących im posiłki. Dzięki nim zajrzał na zaplecze wielkiej historii.

Bohaterami filmu są postacie, których nazwiska należą do najmroczniejszych rozdziałów XX wieku: Saddam Husajn, Idi Amin, Pol Pot, Augusto Pinochet i Kim Dzong Il. Różniły ich kraje, ideologie i epoki. Łączyło jedno – ogromna władza nad innymi ludźmi. Tym razem jednak nie oglądamy ich z perspektywy politycznych analiz. Poznajemy ich przez wspomnienia ludzi stojących przy kuchennym stole.

I nagle monumentalny portret wodza zaczyna pękać.

Okazuje się, że człowiek otoczony armią ochroniarzy może martwić się smakiem potrawy. Ten, przed którym drżą miliony, sam może obawiać się otrucia. Kucharz natomiast znajduje się w paradoksalnej sytuacji: jest służącym, ale jednocześnie powierzono mu coś najbardziej elementarnego – bezpieczeństwo człowieka posiadającego niemal nieograniczoną władzę. Jeden błąd w kuchni może oznaczać katastrofę. Jedno podejrzenie może kosztować życie.

Dlatego kuchnia w tym filmie przestaje być kuchnią. Staje się laboratorium władzy.

To tutaj wielka polityka spotyka się z codziennością, przemoc ze zwyczajnością, strach z zapachem przygotowywanego jedzenia. Szczególnie przejmujące jest właśnie zderzenie tych dwóch światów: gdzieś poza murami rezydencji ludzie cierpią głód, trafiają do więzień albo giną, podczas gdy kilka metrów dalej ktoś zastanawia się, co przygotować wodzowi na kolację.

Za kamerą stoi między innymi Rafał Łaski, polski operator urodzony we Francji, starszy syn znanego polskiego fotoreportera Wojtka Łaskiego. Jest w tym pewna symboliczna ciągłość. Ojciec przez dziesięciolecia obserwował świat przez aparat fotograficzny, syn robi to dziś kamerą filmową. Inne pokolenie, inne medium, ale podobny instynkt: znaleźć obraz, który mówi więcej niż długi komentarz.

Rodzinny ślad Łaskich prowadzi jednak jeszcze dalej – aż do Kambodży.

Matka Rafała, Thida Łaski, jest Francuzką urodzoną w Kambodży i płynnie mówi po khmersku. Andrew Neel wykorzystał jej znajomość języka, kraju i kultury, zapraszając ją do współpracy jako konsultantkę przy części poświęconej Pol Potowi. Nie chodziło jedynie o tłumaczenie słów. W dokumencie historycznym szczegół potrafi zdecydować o wiarygodności całej sceny: sposób zwracania się do drugiego człowieka, gest, ton głosu, obyczaj, przedmiot stojący na stole.

Thida Łaski miała bliski kontakt z kucharką Pol Pota. Dzięki temu twórcy mogli wejść głębiej w świat, którego nie da się zrozumieć wyłącznie poprzez archiwalne fotografie i opracowania historyczne.

Ekipa pracowała także w autentycznych miejscach związanych z dawnymi dyktatorami. Daje to filmowi coś, czego nie da się stworzyć scenografią, niezależnie od wielkości budżetu. Ściany, pomieszczenia i krajobrazy mają własną pamięć. Kamera rejestruje nie dekorację udającą historię, lecz przestrzeń, w której historia rzeczywiście się wydarzyła.

Polski udział w tej amerykańskiej produkcji jest więc znacznie większy, niż można byłoby sądzić po samym tytule. U początku była książka polskiego reportera. Za kamerą znalazł się polski operator. Przy kambodżańskiej części filmu ważną rolę odegrała rodzinna historia Łaskich. Teraz film wraca do Polski i zostanie pokazany warszawskiej publiczności.

Przed projekcją odbędzie się spotkanie z twórcami. Reżyser Andrew Neel wraz z członkami ekipy opowie o powstawaniu blisko półtoragodzinnego dokumentu, pracy w miejscach związanych z dyktatorami oraz o drodze, jaką musiała przejść reporterska książka Szabłowskiego, zanim zamieniła się w międzynarodową produkcję filmową.

Można się spodziewać, że równie interesujące jak sam film okażą się pytania publiczności. Jak zdobywa się zaufanie człowieka, który przez lata żył obok dyktatora? Co pamięta kucharz po kilkudziesięciu latach: wielką historię czy raczej drobiazgi – ulubioną potrawę, nagły wybuch gniewu, ciszę przy stole? Czy człowiek przygotowujący jedzenie tyranowi staje się częścią jego systemu, czy pozostaje jedynie kimś próbującym przeżyć? Gdzie kończy się służba, a zaczyna współodpowiedzialność?

Są to pytania znacznie większe niż kulinarne.

Właśnie dlatego pomysł Witolda Szabłowskiego okazał się tak nośny. Historia opowiedziana od kuchni – tym razem dosłownie – pozwala zobaczyć władzę w chwili, kiedy zdejmuje mundur, odkłada propagandową maskę i siada do stołu. Dyktator przestaje być posągiem z placu albo twarzą spoglądającą z gigantycznego portretu. Staje się człowiekiem ze swoimi przyzwyczajeniami, słabościami i lękami. Nie czyni go to mniej odpowiedzialnym za jego czyny. Przeciwnie – może sprawić, że mechanizm tyranii staje się jeszcze bardziej niepokojący, bo okazuje się boleśnie ludzki.

Droga „Jak nakarmić dyktatora" do Warszawy jest równie niezwykła jak sam punkt wyjścia tej historii. Zaczęła się od reporterskiej ciekawości Polaka, który postanowił odnaleźć kucharzy dyktatorów. Później była książka, zagraniczni czytelnicy, amerykański reżyser, międzynarodowa ekipa, polski operator i kambodżański rodzinny trop.

12 października wszystkie te drogi spotkają się w Warszawie.

Tym razem przy stole nie zasiądzie żaden dyktator. Pozostaną jego kucharze, ich pamięć, filmowcy i publiczność. I być może właśnie z tej perspektywy – znad zwyczajnego talerza – można dostrzec coś, czego nie pokazują podręczniki historii: jak blisko siebie potrafią znajdować się banalność codziennego życia i absolutna, bezwzględna władza.



FOT. MAT.PRAS.

Film oparty został na książce Witolda Szabłowskiego, wydanej także pod tytułem „Kucharze dyktatorów"

eprasa.pl 35b7964dc6

HISTORIA

Señor Zorro pozdrawia z hiszpańskiej Kalifornii

Pierwszy odcinek serialu „Zorro" obejrzało 10 października 1957 roku w telewizji ABC ponad 15 milionów Amerykanów. Potem liczba widzów tylko rosła

Mariusz Grabowski



FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

Guy Williams z zabójczym wąsikiem jest jednym z najbardziej znanych filmowych Zorro

Serial przyciągał nie tylko wartką akcją. Przypominał też, że Kalifornia byłą ongiś hiszpańska, a pierwowzorem głównego bohatera był kalifornijski banita Joaquin Murrieta z czasów XIX-wiecznej gorączki złota w San Francisco.

Historyczne tropy

Aby zrozumieć tło ekranowe przygód Zorro, trzeba przeprowadzić kilka krótkich śledztw. Pierwsze na temat ABC, stacji-matki, która wyprodukowała serial, drugie na temat pierwowzoru jego głównego bohatera, trzecie o historii Nueva España, czyli Nowej Hiszpanii w Ameryce.

W 1957 roku American Broadcasting Company, jedna z trzech głównych amerykańskich potęg telewizyjnych, należała do koncernu United Paramount Theatres, zachowując – jak twierdzi Anthony Smith w opasłym tomie „Television. An International History" – dużą „swobodę finansową, programową i organizacyjną".

Jednym ze sposobów na przyciągnięcie publiki przez ABC były popularne seriale westernowe. Smith podaje, że w 1956 r. liczba teleodbiorników w Stanach wynosiła już 36 mln (dla porównania: w całej Europie niespełna 5 mln), zatem było o co konkurować. „Zorro" miał wykraczać poza zwykłą masówkę. Miał być serialem familijnym, nadawanym przed południem, z krótkimi, 30-minutowymi odcinkami o przesłaniu umoralniającym.

Odwoływanie się do hiszpańskiej tradycji nie było przypadkowe. Szef ABC Edward J. Noble i jego ówczesny przełożony z UTP Leonard H. Goldenson w ramach zawodowych relacji często polowali na kaczki w dolinie Sacramento. Taki był model rozrywki telewizyjnych bossów z nowojorskich elit. I to tam wpadł im do głowy pomysł stworzenia serialu o hiszpańskim herosie sprzed wieków.

Z bandyty – bon vivant

Pamięć o hiszpańszczyźnie jest dziś w Kalifornii starannie pielęgnowana. Podobnie jak legendy o postaci Joaquína Murietty, zaoceanicznym odpowiedniku słowackiego Janosika. Prawdopodobnie był to drobny koniokrad, ale gdy zebrał bandę, przypisano mu z czasem kilka zabójstw. Gdy zaszedł ludziom za skórę, wytropił go jeden z kalifornijskich rangerów – łowców głów – i zastrzelił mniej więcej w 1850 r. Działo się to w czasach, gdy Kalifornia była już amerykańska.

Głowy Murietty i jego najbliższego druha Trzypalczastego Jacka odcięto, wsadzono do słojów i zalano whisky. Można je było później oglądać za dolara na jarmarkach i w gabinetach osobliwości. Ich bandycka sława z czasem tylko rosła, a po ukazaniu się w 1854 r. powieści Johna Ridge'a „The Life and Adventures of Joaquín Murieta: The Celebrated California Bandit" stali się prawdziwą legendą.

Armia pracujących dla ABC scenarzystów (Smith podaje, że nad fabułą pierwszego odcinka „Zorro" biedziło się ich 15) dokonała prawdziwego cudu. Nie tylko przesunęli akcję o kilka dekad wstecz, ale z nienawidzącego Ameryki i Amerykanów meksykańskiego bandziora stworzyli wyrafinowanego hiszpańskiego szlachcica don Diego de la Vegę – naszego „Zorro". A ściślej mówiąc, ukradli – co czym później.

Sielski świat Californios

Czas na śledztwo historyczne i pytanie: jak Diego de la Vega znalazł się w Los Angeles w Nowej Hiszpanii? Był potomkiem Hiszpanów, którzy odkryli ten kawałek świata w poł. XVI wieku. Akcja „Zorro" dzieje się na przełomie XVII i XIX w. Z serialu dowiadujemy się, że don Diego wrócił właśnie ze studiów w Hiszpanii, co dowodzi, że komunikacja między metropolią a jej kolonią funkcjonowała jeszcze wówczas w najlepsze.

Elitę społeczną i polityczną Kalifornii stanowili tzw. Californios – hiszpańskojęzyczni potomkowie osadników z czasów kolonialnych, którzy posiadali gigantyczne majątki ziemskie nadawane przez rząd (tzw. ranchos). Hodowali na nich wielkie stada bydła. Znacznie niżej byli meksykańscy rzemieślnicy i robotnicy pracujący w tzw. pueblos lub jako nadzorcy na ranczach. Na samym dnie znajdowali się chłopi (peones) i rdzenna ludność, czyli Indianie, nierzadko zmuszani do niewolniczej lub półniewolniczej pracy na rzecz Californios. Na terenie Kalifornii istniała sieć franciszkańskich misji – centrów administracyjno-religijnych. Rządzili nimi mianowani przez hiszpańską Koronę gubernatorzy.

Sielski świat don Diego skończył się w 1821 r., gdy w wyniku powstania przeciwko hiszpańskiej władzy Kalifornia stała się częścią niepodległego Meksyku i pozostała nią przez 25 lat. Potem na wszystkim położyli łapę Amerykanie. Już w 1850 r. Kalifornia przystąpiła do Unii jako 31 stan. Niewykluczone, że sędziwy don Diego de la Vega mógł o tym przeczytać w gazecie, pijąc wino na patio swojej hacjendy.

„Zorro" znaczy „lis"

W latach 1957-1961 powstało 78 odcinków serialu (plus 4 specjalne). Ich fabuły były uproszczone do minimum. Don Diego (grany przez Guya Williamsa z zabójczym wąsikiem), w dzień złoty młodzian i birbant, w nocy staje się mścicielem w pelerynie i z maską na twarzy, który wymierza kary nikczemnikom i wybawia uciśnionych. Pomagają mu służący Bernardo i wyjątkowo bystry koń Tornado. Postacią humorystyczną jest sierżant Garcia, opilec i obżartuch, ale o złotym sercu.

Jego wrogiem jest zaś kapitan Monastario, przedstawiciel administracji kolonialnej, który już w pierwszym odcinku chce zniszczyć don Nacho Torresa, właściciela ziemskiego, niesłusznie oskarżonego o zdradę. Co ciekawe, Zorro nie działa z pobudek klasowych – większość serialowych intryg rozgrywa się w sferze hacendados – bogatych posiadaczy ziemskich – ale z poczucia sprawiedliwości.

Universum serialu jest głęboko zakorzenione w hiszpańskiej kulturze i tradycji. Przykładowo: Zorro zręcznie wywija rapierem, co jest bezpośrednim nawiązaniem do hiszpańskiej szkoły szermierki, zwanej La Verdadera Destreza. A jego czarna peleryna oraz kapelusz typu cordobés z płaskim rondem nawiązują do tradycyjnego, eleganckiego ubioru andaluzyjskich jeźdźców.

Duch Los Angeles

Ów ideowo-estetyczny sztafaż „Zorro" nie narodził się w gabinetach scenarzystów ABC – wymyślił go w 1919 r. pisarz Johnston McCulley w powieści „The Curse of Capistrano". Jej bohaterem jest szlachetny banita o ksywce Zorro, który pozostawia po sobie tajemniczy znak „Z". Powieść odniosła ogromny sukces i już rok później została zekranizowana w niemym filmie pod tytułem „Znak Zorro". Główną rolę zagrał w nim Douglas Fairbanks.

To McCulley nakreślił mapę hiszpańskości „Zorro". Akcja dzieje się w przestrzeni między Los Angeles a misją San Juan Capistrano. Komendant Monasterio czy sierżant Garcia odzwierciedlają hiszpańską obecność militarną na odległych rubieżach imperium. Z kolei ojciec Felipe reprezentuje system misyjny, który miał za zadanie chrystianizację klas niższych.

W czasie gdy Zorro dokonuje swoich karkołomnych wyczynów, Amerykanów (jankesów, jak mówiono w XIX w.) w Kalifornii jeszcze nie ma. Gdy w kilku serialowych odcinkach w Los Angeles pojawia się traper Joe Cran, natychmiast ujawniają się kulturowe i polityczne waśnie. Sytuacja gęstniej zwłaszcza w momencie, gdy w tawernie Crane popada w konflikt z don Carlosem Fernandezem – Hiszpan traktuje przybysza jako „prymitywa i pariasa z Północy".

Ameryka górą

Odnosząc ten incydent do historii, hiszpańska Kalifornia w starciu z rosnącą i drapieżną potęgą Stanów Zjednoczonych nie miała żadnych szans na przetrwanie. Hiszpania powoli traciła nie tylko Kalifornię, ale także dzisiejszą Nevadę, Utah, Kolorado, Arizonę, Nowy Meksyk oraz Teksas.

W 1821 r. Korona nie miała już większości terytorium zamorskiego, z wyjątkiem Kuby, Filipin oraz Portoryko. Administracji tzw. Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii podlegały jeszcze formalnie tylko Filipiny. Po błyskawicznej wojnie amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 r. Kuba uzyskała niepodległość (pod kontrolą Stanów), zaś Portoryko, Guam i Filipiny stały się terytorium USA.

Czasy don Diego de la Vegi były ostatnimi chwilami istnienia Starego Świata. Warto o tym pamiętać, otrzepując z kurzu kolejne odcinki klimatycznego teletasiemca o nazwie „Zorro".

eprasa.pl 35b7964dc6

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY



Poleca
Agaton Koziński



Gdy Paryż był ikoną sztuki i kultury

Patrząc na sceny, jakie od ponad tygodnia rozgrywają się we Francji, trochę trudno uwierzyć w to, co opisuje ta książka. Francja bowiem płonie. Kolejne miasta pogrążają się w zamieszkach. Nawet w Paryżu codziennością ostatnich dni są starcia uliczne, szarże policjantów na zrewoltowany tłum czy grupy młodzieży budujące barykady z pojemników na śmieci.

Tymczasem w książce Sylwii Zientek mamy Paryż zupełnie inny – centrum świata, Mekka artystów wszelkiej maści, którzy ciągną do niego, szukając inspiracji, kontaków, rynku sprzedaży. A przede wszystkim tej niepowtarzalnej atmosfery, jaką Paryż 100 lat temu roztaczał wokół siebie.

Jedną z artystek, które szukały tam szansy, była Maria Mutermilch, znana jak Mela Muter. A może precyzyjniej: nie tyle szukała, co zdecydowanie znalazła. Wyjechała do Paryża zaraz na początku XX wieku i została w nim do śmierci w 1967 r. Tam stała się ikoną stylu malarskiego zwanego École de Paris.

Zientek opisuje precyzyjnie życie Muter, kreśląc przy okazji pejzaż ówczesnego Paryża. Jakże innego od współczesnego.

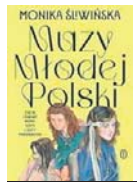
Sylwia Zientek „Mela Muter. Wierna sobie”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł



Jak wyglądała codzienność PRL

Z rozmachem wydana książka odwołująca się do sentymentu za latami młodości. Autor przypomina, jak wyglądała codzienność PRL.

Jacek Piekara „Świat zaginiony. Wyprawa do wnętrza PRL. Tom 2”, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2026, cena 149,99 zł



Miłość, śmierć i historia Polski początku XX wieku

Trzy siostry, w których życiorysie można znaleźć echa wielkiej historii pierwszej połowy XX w. Rozkochiwały w sobie artystów, ginęły tragicznie.

Monika Śliwińska „Muzy Młodej Polski. Życie i świat Marii, Zofii i Elizy Pareńskich”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 89,90 zł



Traumy, które nigdy się nie zabliźniają

Bardzo hiszpańska książka dotykająca traumy, jaką dla tego kraju była wojna domowa lat 1936-1939. I pokazująca, jak silne są więzi rodzinne, bez względu na czas i miejsce.

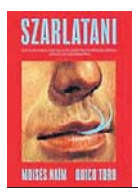
Julia Navarro „Chłopiec, który przegrał wojnę”, wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



Dlaczego właściwie powstał KOR

Komitet Obrony Robotników to jedna z najważniejszych organizacji opozycyjnych lat komunizmu. W 50. rocznicę jej utworzenia otrzymujemy jej portret złożony z głosów założycieli.

Zbigniew Gluza „Autoportret KOR-u”, wyd. Ośrodek Karta, Warszawa 2026, cena 89 zł



Oszustwo musi być proste, ale wiarygodne

Szarlatani byli zawsze i od zawsze doskonalą sztukę oszukiwania innych. Ta książka prowadzi nas przez ich świat i pokazuje, jak zmieniały się metody szarlatanów.

Moisés Naím, Francisco Toro „Szarlatani”, wyd. Muza, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



Złoto. Bożek, któremu się wszyscy kłaniają

Obsesja ludzi na temat złota jest niemal równie stara jak cywilizacja. Ta książka opisuje, jakie formy ta obsesja potrafiła przyjmować.

Dominic Frisby „Tajemna historia złota. Mity, pieniądze, polityka i władza”, wyd. Freedom Publishing, Wrocław 2026, cena 69 zł



Życie Polaków rozrzuconych po świecie

Podobno Polacy są wszędzie. Ta praca pokazuje, że w tym micie jest dużo prawdy. Przegląd polskiej diaspory w poszczególnych zakątkach globu.

Joanna Wojdon, Magdalena Lesińska, Adam Walaszek [red.] „Diaspora polska”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 119 zł



Dywagacje Lema o literaturze

Lem sam określił tę swoją książkę jako „nierozsądne przedsięwzięcie”. Prowadzi w niej rozważania wokół tematów abstrakcyjnych, takich jak literatura czy informacja.

Stanisław Lem „Filozofia przypadku”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 89,90 zł



Powieść o zmaganiach Batman i Jokera

Znamy Batmana jako bohatera komiksów czy filmów noir. Tym razem otrzymujemy go w wersji powieściowej. Autor rozwija w pełnokrwistą fabułę jego walkę z Jokerem.

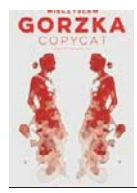
John Jackson Miller „Batman. Odrodzenie”, wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 89,90 zł



Batman wymyślony od początku

Batman w nowym wcieleniu. Poznajemy od początku szczegóły z życia bohatera. Całość narysowana z wrażliwością mocno odmienną od klasycznej kreski Boba Kane'a.

Scott Snyder, Nick Dragotta „Absolute Batman. Zoo”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 89,99 zł



Thriller psychologiczny w polskich realiach

Autor znany z cyklu o nadkomisarzu Marcinie Zakrzewskim wraca z nowym kryminałem. Jak zwykle u Gorzki akcja idzie w parze z gęstym klimatem psychologicznym.

Mieczysław Gorzka „Copycat”, wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 54,99 zł



Wolno, erudycyjnie, przenikliwie

Zbiór esejów słynnego historyka, napisanych przez niego w latach 60. Jak zwykle u Jasienicy: powolne tempo połączone z niezwykłą erudycją i przenikliwością.

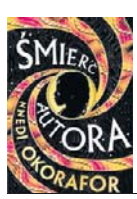
Paweł Jasienica „Tylko o historii”, wyd. MG, Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Gdy dzieci mają smartfony na wyciągnięcie ręki

Dziś od smarfonów nie da się uciec. Ta książka tłumaczy, jak przy okazji nie wylać dziecka z kąpielą.

Adrianna Dzięgielewska „Maluch przed ekranem. Jak chronić dzieci przed negatywnym wpływem technologii”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł



Książka w książce przyprawiona szczyptą sci-fi

Trochę przejaw próżności, ale wielu autorów tak ma, otrzymujemy więc kolejną książkę o tym, jak się pisze książkę – tym razem science-fiction.

Nnedi Okorafor „Śmierć autora”, wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 109,99 zł



Rzeczywistość alternatywna uniwersum Marvela

Jaki byłby świat bez superbohaterów? Czyli uniwersum Marvela ćwiczy rzeczywistość alternatywną.

Jonathan Hickman, Bryan Hitch „Nowy świat Ultimate. Inwazja”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 89,99 zł



Dokąd jesienią tupta jeż

Właśnie otrzymujemy nową wersję dziecięcego klasyka „Dokąd nocą tupta jeż”. Historyjka jeżyka, który się nie spieszył, ale zawsze dbał o las.

Marije Tolman „Jeżyk. Strażnik lasu”, wyd. Widnokrąg, Warszawa 2026, cena 42 zł

eprasa.pl 35b7964dc6

HIPOKRATES 2026

LIDERZY RANKINGÓW

LEKARZ RODZINNY LUB POZ ROKU
1. **Szymon Szewczyk,** Clinica Medica, Żabia Wola
2. **Katarzyna Wrońska-Głogowska,** Malmed sp. z o.o., Pruszków
3. **Piotr Gorski,** PZOZ, Skaryszew

PEDIATRA ROKU
1. **Edyta Giżyńska-Roman,** Eskulap Centrum Medyczne, Ciechanów
2. **Izabela Bartnik,** Medycyna Rodzinna Lux MED, Warszawa
3. **Agnieszka Jarymowicz,** Przychodnia Esculap, Marki

PIELĘGNIARKA/PIELĘGNIARZ ROKU
1. **Aleks Derbin,** SP ZZOZ, Kozienice
2. **Aneta Smyk,** Szpital, Warszawa
3. **Małgorzata Gronkiewicz,** Centrum Zdrowia Mazowsza Zachodniego, Żyrardów

STOMATOLOG/ORTODONTA ROKU
1. **Milena Zygarska,** Stomatologia Smile, Radom
2. **Katarzyna Brus-Sawczuk,** Centrum Medyczne Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Warszawa
3. **Paweł Rudnicki,** Vision-Dent Sylwia Dziura, Marki

POŁOŻNA/POŁOŻNY ROKU
1. **Anna Stefanek,** Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, Warszawa
2. **Alina Rumowska,** Przychodnia SZPZLO Warszawa Bemowo-Włochy, Warszawa
3. **Emilia Wilczyńska,** Szpital Specjalistyczny im. Świętej Rodziny, Warszawa

GINEKOLOG ROKU
1. **Michał Gontkiewicz,** Femi Premium Michał Gontkiewicz, Ożarów Mazowiecki
2. **Ryszard Kołcz,** SPZZOZ im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Płońsk
3. **Aron Łukaszuk,** INVICTA - Klinika Zdrowia i Leczenia Niepłodności, Warszawa

CHIRURG ROKU
1. **Małgorzata Polańska-Płachta,** Szpital Czerniakowski, Warszawa
2. **Agnieszka Bielarska,** Klinika Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Leczenia Oparzeń, Warszawa
3. **Aneta Obcowska-Hamerska,** Ober Clinic, Warszawa

ORTOPEDA ROKU
1. **Julia Macias,** SPSK im. prof. Adama Grucy CMKP, Otwock
2. **Cezary Buko,** Mazowiecki Szpital Specjalistyczny im. dr. Józefa Psarskiego, Ostrołęka
3. **Sebastian Chamara,** SPZZOZ, Szydłowiec

FIZJOTERAPEUTA/OSTEOPATA ROKU
1. **Jakub Szmajdka,** Ośrodek Rehabilitacji CEMICUS, Warszawa
2. **Natalia Gronkiewicz,** Szpital Powiatowy, Sochaczew
3. **Sandra Glinka,** Centrum Medyczne Goldenmed, Serock

KARDIOLOG ROKU
1. **Bartosz Puchalski,** PZU Zdrowie S.A. Oddział Centra Medyczne, Piaseczno
2. **Jarosław Kosior,** Mazowiecki Szpital Specjalistyczny, Radom
3. **Emil Jędrych,** SPZZOZ im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Płońsk

UROLOG/NEFROLOG ROKU
1. **Antoni Sokalski,** Centrum Medyczne Aeskulap, Radom
2. **Marek Braszko,** Wojewódzki Szpital Zespolony, Płock
3. **Dariusz Ostapowski,** Wojewódzki Szpital Zespolony, Płock

OKULISTA ROKU
1. **dr n. med. Małgorzata Seroczyńska,** Instytut Matki i Dziecka, Warszawski Uniwersytet Medyczny, Centrum Medyczne Żelazna, Centrum Medyczne Arka, Warszawa
2. **Jacek Kosmala,** Libermedic - Warszawskie Centrum Okulistyczne, Warszawa
3. **Dorota Walasik-Szemplińska,** Sensor Cliniq, Warszawa

DERMATOLOG ROKU
1. **Vasiliki Chwiałkowska,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa
2. **Piotr Ciechanowicz,** Centrum Medyczne Puławska, AlmiMed, Manufaktura Zdrowia i Urody, Warszawa
3. **Anna Suwalska,** Sense Med Concept, Warszawa

LARYNGOLOG ROKU
1. **Danuta Kuczyńska,** Gabinet Laryngologiczny, Otwock
2. **Anna Wakarow,** Otolaryngolodzy24 Poradnia Specjalistyczna, Warszawa
3. **Olga Sieniawska-Buccella,** Otolaryngolodzy24, Warszawa

ANESTEZJOLOG ROKU
1. **Tomasz Chudoń,** Radomski Szpital Specjalistyczny, Radom
2. **Agnieszka Głusek,** Mazowiecki Szpital Wojewódzki im. św. Jana Pawła II, Siedlce
3. **Paulina Topka-Cyganecka,** Indywidualna Specjalistyczna Praktyka Lekarska, Warszawa

NEUROLOG ROKU
1. **Krystsina Kisialiova,** SP ZZOZ, Kozienice
2. **Agnieszka Andrzejczak-Sobocińska,** Szpital Bielański im. ks. Jerzego Popiełuszki, Podkowa Leśna
3. **Magdalena Braszko,** SPSK im. prof. W. Orłowskiego, Warszawa

RATOWNIK MEDYCZNY/RATOWNIK PRZEDMEDYCZNY ROKU
1. **Konrad Wasielewski,** WSPRiTS Meditrans, Warszawa
2. **Marcin Zięba,** WSPRITS Meditrans, Warszawa
3. **Wojciech Jakubowski,** WSPRITS Meditrans, Warszawa

FARMACEUTA/TECHNIK FARMACEUTYCZNY ROKU
1. **Marta Kuczmarska,** Apteka Medicor 3, Mała Wieś
2. **Roksana Kinga Nawrocka,** Apteka, Warszawa
3. **Monika Lenart-Dróżdż,** Apteka Martyna Wiącek, Jastrzębia

RADIOLOG/TECHNIK ELEKTRORADIOLOG ROKU
1. **Jakub Samkowski,** Klinika Radiologii, Radioterapii i Medycyny Nuklearnej, Warszawa
2. **Beata Boniek,** Radomski Szpital Specjalistyczny im. dr. Tytusa Chałubińskiego, Radom
3. **Ewa Rogala,** Radomski Szpital Specjalistyczny im. dr. Tytusa Chałubińskiego, MedJana, Radom

ONKOLOG ROKU
1. **Iwona Drab-Mazur,** Radomskie Centrum Onkologii, Radom
2. **Przemysław Langiewicz,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa
3. **Wojciech Solarek,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa

PSYCHOLOG/PSYCHOTERAPEUTA ROKU
1. **Ilona Jaworska,** Radomedica, Radom
2. **Agnieszka Łakomska,** NZOZ Ośrodek Prifilaktyki i Terapii Uzależnień, Radom
3. **Agnieszka Wzorek,** Gabinet Psychoterapii, Grodzisk Mazowiecki

Łączy ich odpowiedzialność za nasze zdrowie

Farmaceuci, lekarze różnych specjalności i inni pracownicy ochrony zdrowia każdego dnia spotykają nas - tych, którzy przychodzą do nich po pomoc, poradę, diagnozę, leczenie. Choć pracują w różnych miejscach i zajmują się różnymi dziedzinami, łączy ich odpowiedzialność za zdrowie drugiego człowieka, co jest godne docenienia. - Także dlatego chcemy poznać ich bliżej, więc dziś prezentujemy kolejne osoby uczestniczące w plebiscycie HIPOKRATES 2026 - opowiada Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się nim od strony redakcyjnej.

Jak dodaje: - Przedstawianych przez nas w kolejnych odsłonach bohaterów akcji pytamy o ich zawodową codzienność, najważniejsze doświadczenia. Czasami są podobne, czasami różne, ale zawsze wspólnym mianownikiem jest praca na rzecz pacjentów i zaangażowanie, które zostało dostrzeżone zarówno na etapie nominacji do plebiscytu, jak i głosowania, które trwa.

Za nami już ponad miesiąc głosowania w akcji Hipokrates 2026, przed nami jego kolejni uczestnicy.

Szczegółów szukajcie na: polskanews.pl/hipokrates

O pracy w aptece marzyła od dziecka, dziś z pasją pomaga pacjentom

Roksana Kinga Nawrocka jest absolwentką farmacji na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. O pracy w aptece marzyła już jako dziecko, dlatego dziś z dużą satysfakcją realizuje zawodową drogę, którą wybrała z prawdziwego zamiłowania.

W centrum jej codziennej pracy zawsze znajduje się pacjent. Każdą osobę odwiedzającą aptekę stara się traktować indywidualnie, z empatią i zrozumieniem jej sytuacji. Wie, że za pytaniem zadanym przy aptecznym okienku często kryją się obawy, niepewność lub potrzeba uzyskania jasnej i fachowej porady. Dlatego tak ważne jest dla niej uważne słuchanie i odpowiednie podejście do drugiego człowieka.

Praca farmaceuty wymaga nie tylko szerokiej wiedzy o lekach, ale również odpowiedzialności i umiejętności przekazywania informacji w sposób zrozumiały dla pacjenta. To zawód, w którym wiedza musi stale nadążać za zmieniającymi się zaleceniami i możliwościami współczesnej farmacji. Roksana Kinga Nawrocka doskonale zdaje sobie z tego sprawę, dlatego stale poszerza swoje kompetencje i doskonali wiedzę, aby móc doradzać pacjentom zgodnie z aktualnymi wytycznymi.



W dermatologii liczą się dokładność, doświadczenie i uważność

Vasiliki Chwiałkowska jest specjalistką dermatologii i wenerologii. Doświadczenie zawodowe zdobywała w Klinice Dermatologicznej Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie oraz w 1 Wojskowym Szpitalu w Lublinie. Dziś swoją wiedzę wykorzystuje w codziennej diagnostyce i leczeniu pacjentów z różnorodnymi problemami skóry, włosów i paznokci.

Szczególne miejsce w jej pracy zajmuje dokładna ocena zmian skórnych. W diagnostyce wykorzystuje dermoskopię i wideodermoskopię, które pozwalają dokładniej przyjrzeć się niepokojącym zmianom. Zajmuje się również leczeniem dermatologicznym oraz wykonuje zabiegi z zakresu dermatochirurgii, kriochirurgii, laseroterapii i elektrokoagulacji.

Dermatologia wymaga dużej uważności, ponieważ nawet niewielka zmiana na skórze może być dla pacjenta źródłem niepokoju. Dlatego ważna jest nie tylko wiedza medyczna, ale także dokładność, odpowiednia diagnostyka i indywidualne spojrzenie na problem konkretnej osoby. Vasiliki Chwiałkowska łączy te elementy w swojej codziennej pracy, dbając o kompleksowe podejście do zdrowia skóry.

Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego.



PSYCHIATRA ROKU
1. **Marta Pawlak,** Gedeon, Konstancin-Jeziorna
2. **Bartłomiej Dynowski,** WSZPZOZ, Gostynin
3. **Joanna Amrogowicz,** NZOZ PsychoMedic.pl, Warszawa

MENEDŻER PLACÓWKI MEDYCZNEJ ROKU
1. **Angelika Ambroziewicz,** SPZOZ, Siedlce
2. **Emilia Chmielińska,** NZOZ Arnika, Mława
3. **Mariusz Martyniak,** SPZOZ, Sokołów Podlaski

PARTNER GŁÓWNY PLEBISCYTU

synoptis pharma ®

eprasa.pl 35b7964dc6

WARSZAWA

Kolejny niewybuch w Warszawie. Znaleziono go podczas remontu ulicy

Maciej Koprowicz

81 lat po zakończeniu II wojny światowej w Warszawie nadal znajdowane są tkwiące w ziemi niewybuchy. Zapomniane pociski wciąż stanowią zagrożenie dla mieszkańców. Na taką „pamiątkę" po wojnie natknęli się dziś drogowcy pracujący na Woli.

Niewybuch dużych rozmiarów spoczywający w ziemi z zapalnikiem ku górze znaleziono w środę, 7 października na ulicy Twardej, nieopodal skrzyżowania z ulicą Żelazną. W miejscu tym właśnie trwa przebudowa ulicy.

Informacja o tym niebezpiecznym znalezisku pojawiła się na grupie na Facebooku „Warszawska Wola". Potwierdziła nam ją wolska policja.

- Potwierdzamy znalezienie niewybuchu na ulicy Twardej. Jest tam już załoga policji, która zabiezpiecza miejsce znaleziska. Oczekujemy na przyjazd saperów, którzy zabezpieczą niewybuch - powiedział nam mł. asp. Wojciech Wąsowski z Komendy Rejonowej Policji Warszawa IV.

Pociski wystające z ziemi to w Warszawie niemal codzienność. Mimo że osiem dekad upłynęło od zakończenie działań wojennych w stolicy, to pozostałości po nich ciągle stanowią zagrożenie dla mieszkańców.

W ostatnich miesiącach na Woli znaleziono kilkanaście dużych pocisków artyleryjskich z II wojny światowej, przede wszystkim na ulicy Grzybowskiej, która także przechodziła przebudowę. Ponadto niewybuchy znajdowano minionego lata m.in. w alei „Solidarności" oraz w kościele w Wilanowie.

Teatr TR będzie wyglądał zupełnie inaczej. Zmiana w trakcie budowy

Budowa nowej siedziby Teatru TR w centrum stolicy nabiera tempa. Okazuje się jednak, że budynek, który powstaje między Pałacem Kultury i Nauki a Muzeum Sztuki Nowoczesnej, będzie wyglądał inaczej, niż pierwotnie planowano

Mateusz Łuba



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tak ma wyglądać budynek, który powstaje obecnie na Placu Centralnym

Pierwszy projekt nowej siedziby Teatru Rozmaitości przygotował nowojorski zespół architektoniczny Thomas Phifer and Partners, współpracujący z polskimi pracowniami APA Wojciechowski oraz Buro Happold. Pierwotnie zakładano, że ciemna fasada budynku będzie stanowiła swoisty kontrast dla białej bryły Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jak się jednak okazuje, koncepcja uległa ogromnej zmianie.

– Projekt, który był tworzony dziesięć lat temu, miał prawo stracić na aktualności. Dlatego wprowadzamy do niego kilka naprawdę poważnych zmian. Oczywiście najważniejsza to fasada, dlatego że ona na wszystkich wizualizacjach rozbudzała najwięcej emocji i będzie zupełnie zmieniona – przekazał Rafał Trzaskowski.

Prezydent Warszawy dodał, że bryła gmachu, który powstaje na Placu Centralnym, będzie dużo lżejsza „zarówno wagowo, jak i wizualnie". Obiekt będzie miał inny kolor, niż zapowiadano – nie czarny, a biały lub jasno szary. Trzaskowski dodał, że budynek zostanie wykonany z innych materiałów, dzięki czemu będzie znacznie tańszy w budowie.

W sieci pojawiły się reakcje. Część komentujących twierdzi, że pierwotna wersja dobrze korespondowała z Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Wskazują również, że kontrast bieli i czerni był naturalnym uzupełnieniem obu brył. Radny Jan Mencwel z Miasto Jest Nasze stwierdził, że nie wie, co ma myśleć o tej zmianie. I trudno się z tym nie zgodzić. Chyba nikt nie był gotowy na taką zmianę w przypadku budynku, którego budowa trwa.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

BUDOWLANA

ZĄB, ul. Potoczki, 1ha, widok na Tatry 781 776 612

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Jesienne pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach. Tel: 41/378-19-48, 696958319 www.sanato.com.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**



ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA 0011593036

Chocianów, dnia 6.10.2026 r.

WYCIĄG z OGŁOSZENIA o PRZETARGU

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW informuje, że dnia 8 grudnia 2026 r. o godz. 9:00 w sali nr 4a w Urzędzie Miasta i Gminy w Chocianowie odbędzie się:

PIERWSZY przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gruntowych niezabudowanych położonych przy ul. Kościuszki w obrębie 2 miasta Chocianów, oznaczonych numerami geodezyjnymi **14/35 o pow. 0,1781 ha oraz 14/37 o pow. 1,7809 ha**, przeznaczonych w MPZP pod tereny zabudowy usługowej (3U), dla których prowadzona jest księga wieczysta nr **LE1U/00022102/9**.

CENA WYWOŁAWCZA: 1 923 000,00 zł (słownie: jeden milion dziewięćset dwadzieścia trzy tysiące złotych), w tym 23% VAT. Postąpienie nie może być niższe niż 1% ceny wywoławczej, z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych.

WADIUM: 100 000,00 zł. Wadium należy wpłacić na rachunek bankowy Gminy Chocianów nr **73 1020 5226 0000 6702 0706 0603** w PKO BP Oddział 1 we Wrocławiu w terminie do **2.12.2026 r. (włącznie)**. W tytule wpłaty wadium należy wskazać numery działek **14/35 i 14/37**.

Ogłoszenie o przetargu wywieszone jest na tablicy ogłoszeń w **Urzędzie Miasta i Gminy w Chocianowie** oraz opublikowane w BIP pod adresem: http://chocianow.bip.pbox.pl Szczegółowe informacje można uzyskać w UMiG Chocianów, pokój nr 13; informacje w zakresie MPZP – pokój nr 8, tel. **76 81 85 020 (centrala)**.

eprasa.pl 35b7964dc6

PIŁKA NOŻNA

Wycenili Pietuszewskiego. Nowa wartość zwala z nóg

Jakub Jabłoński

Można złapać się za głowę. 18-letni Oskar Pietuszewski został właśnie wyceniony przez CIES Football Observatory. Analitycy opublikowali ranking najbardziej wartościowych piłkarzy występujących poza najlepszą piątką lig europejskich, a polski skrzydłowy z FC Porto uplasował się na pierwszym miejscu tego zestawienia.



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Sugerując się tylko wycenami CIES Football Observatory, kibice nie powinni obawiać się ogłoszenia końca kariery przez Lewandowskiego

Reprezentacja Polski podczas ostatniego zgrupowania rozczarowała, przegrywając dwa mecze ze Szwecją oraz Bośnią i Hercegowiną, a wygrywając tylko z Rumunią. Ale nas cieszyć może fakt ekspresowego rozwoju polskich talentów, które już podbijają zagraniczne ligi. Przykłady? Nie ma obecnie wyżej wycenianego – czyli bardziej wartościowego - w swojej kategorii wiekowej od Oskara Pietuszewskiego.

Polski skrzydłowy, który zimą przeszedł z Jagiellonii do FC Porto za 8 milionów euro z łatwymi do spełnienia bonusami, został wyceniony przez analityków CIES Footbal Observatory na prawdziwą fortunę w porównaniu do reszty piłkarzy do lat 20 spoza najsilniejszych europejskich lig. Już teraz 18-latek ma być wart według autorów zestawienia 56,3 mln euro. Skąd aż tak wysoka wycena?

Wydaje się, że trochę na wyrost wyceniono uzdolnionego skrzydłowego, biorąc pod uwagę jego występy w trwającym sezonie. Zwłaszcza jeśli spojrzymy na fakt, że Pietuszewski zdążył w tej kampanii zagrać tylko raz w lidze portugalskiej. Z pozostałych meczów wykluczyła go kontuzja. Inna sprawa, że w poprzednim sezonie zachwycił. Piłkarz, który w maju tego roku osiągnął pełnoletność, wszedł z futryną do składu portugalskiego giganta. Rozegrał 16 meczów, w których zdobył 3 gole oraz zanotował 4 asysty, pomagając drużynie Francesco Fagioliego odzyskać mistrzowski tytuł po czterech latach.

W pierwszej setce cytowanego zestawienia znalazło się miejsce dla jeszcze dwóch naszych utalentowanych graczy. Są nimi Bartosz Mazurek z RB Salzburg (wyceniona wartość: 15,1 mln euro), który zadebiutował ostatnio w młodzieżowej reprezentacji i od razu zdobył dwie bramki w narodowych barwach, oraz środkowy obrońca Lecha Wojciech Mońka (14,1 mln euro).

Dla porównania: najdrożej wycenianym polskim piłkarzem według portalu branżowego „transfermarkt.de" wciąż pozostaje klubowy kolega Pietuszewskiego z FC Porto i podpora reprezentacji Polski na środku obrony, 26-letni Jakub Kiwior (40 mln euro). Dopiero drugi jest w tym zestawieniu Oskar, którego serwis wycenia znacznie niżej od analityków z CIES Football Observatory (25 mln), a na 3. miejscu uplasował się Matty Cash z Aston Villi (22 mln).

Najdroższym piłkarzem z PKO BP Ekstraklasy pozostaje wspomniany już 19-letni Mońka (10 mln euro według „transfermarktu"), który został okrzyknięty najlepszym środkowym obrońcą minionego sezonu oraz wielkim odkryciem Lecha Poznań.

Po drugiej stronie bieguna znajdują się m.in. Karol Świderski czy Przemysław Wiśniewski. Dwaj reprezentanci Polski zdecydowali się na powrót do rodzimej ligi i reprezentują aktualnie barwy Widzewa Łódź. Wskutek słabszych występów i fatalnej ostatnio formy największy spadek w całej polskiej ekstraklasie zaliczył 29-letni Świderski, którego aktualna wycena to już nie 4,5 miliona, a 2,5 mln euro.

PIŁKA NOŻNA

Reprezentantki Polski walczą od dziś o mistrzostwa świata. Na początek gramy z Belgią

Zbigniew Czyż

Biało-Czerwone zaczynają walkę w barażach o awans do finałów mistrzostw świata 2027 w Brazylii. Rywalkami Polek w pierwszej rundzie będą Belgijki.

W ubiegłym roku Biało-Czerwone zadebiutowały w mistrzostwach Europy w Szwajcarii, teraz chcą awansować na mistrzostwa świata. Nie będzie to jednak łatwe zadanie, bo trzeba wygrać dwa dwumecze w barażach. Co więcej, nawet jeśli Polki tego dokonają, niewykluczone, że w przyszłym roku będą musiały rozegrać jeszcze baraż interkontynentalny. Na mundial w Brazylii zakwalifikuje się 11 lub 12 drużyn z Europy.

Faworytkami barażu między Polkami i Belgijkami będą te drugie, które w rankingu FIFA zajmują 19. miejsce. Podopieczne selekcjonerki Niny Patalon klasyfikowane są na 29. lokacie. – Belgia to jakościowy i dobrze zorganizowany zespół, z dużym doświadczeniem międzynarodowym. Chce grać w piłkę, dobrze wykorzystuje przestrzenie i ma kilka zawodniczek, które potrafią indywidualną jakością zdecydować o przebiegu spotkania. To rywal na naszym poziomie, dlatego spodziewam się dwóch bardzo wyrównanych spotkań, w których mogą decydować detale – powiedziała Nina Patalon dla portalu Łączy nas Piłka.

Polska mierzyła się z Belgią w eliminacjach mistrzostw świata 2023. W Gdańsku padł remis 1:1, w rewanżu Biało-Czerwone uległy 0:4.

Piątkowy mecz w Leuven rozpocznie się o godzinie 20.15. Rewanż odbędzie się we wtorek, 13 października, o godz. 18.00 w Gdańsku. Jeśli drużyna trenerki Patalon wygra to starcie, w drugiej rundzie baraży zmierzy się ze zwycięzcą dwumeczu Irlandia – Kazachstan.

W meczach z Belgią nie zagrają kontuzjowane Kinga Szemik z HSV Hamburg i Jagoda Cyraniak z Olympique Marsylia. Selekcjonerka Patalon w ich miejsce powołała Natalię Radkiewicz z FC Nantes i Julię Walentowicz z KIF Oerebro.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI/POLSKA PRESS

Ewa Pajor ma wielki apetyt, aby błyszczeć nie tylko w klubie. Koleżanki z kadry poprowadziła już do awansu na Euro. Teraz pora na mundial?

TENIS

Świątek gra dziś o półfinał w Pekinie. Hurkacz z awansem w Szanghaju

Zbigniew Czyż

Hubert Hurkacz awansował do drugiej rundy tenisowego turnieju ATP Masters 1000 w Szanghaju. W 1/64 finału Polak pokonał reprezentanta Australii Jamesa Duckwortha 6:3, 7:6. Dziś w ćwierćfinale turnieju w Pekinie gra Iga Świątek.

Hurkacz (34. ATP) wygrał dwa wcześniejsze starcia z Australijczykiem (64. ATP) w ćwierćfinale w Paryżu w 2021 roku oraz trzy lata później w 1/8 finału w Halle. W pierwszym secie Polak był bardzo solidny praktycznie we wszystkich elementach, a tę partię zamknął asem serwisowym.

Druga odsłona pojedynku była zdecydowanie bardziej wyrównana. Zawodnicy nie wypracowali ani jednej okazji na break-pointa. O końcowym sukcesie Wrocławianina przesądził tie-break wygrany 7-4.

W kolejnej rundzie Hurkacz zmierzy się z 24-krotnym mistrzem wielkoszlemowym Novakiem Djokoviciem (11. ATP), który we wtorek sięgnął po tytuł w Pekinie. Serb w pierwszej rundzie miał wolny los. W ośmiu dotychczasowych spotkaniach między Hurkaczem i Djokoviciem wszystkie wygrał pochodzący z Belgradu tenisista. Ostatni mecz z ich udziałem został rozegrany w maju 2025 roku w finale imprezy w Genewie. Wtedy polski zawodnik przegrał po przeszło 3 godzinach rywalizacji.

Na pierwszej rundzie zmagania w Szanghaju zakończył Kamil Majchrzak, który w trwającym trzy godziny i 12 minut meczu uległ Niemcowi Yannickowi Hanfmannowi 7:6 (7-4), 6:7 (3-7), 6:7 (7-9). Wszystkie 36 gemów wygrywał zawodnik serwujący, tym samym w każdym z setów potrzebny był tie-break.

Iga Świątek w ćwierćfinale tenisowych zmagań w stolicy Chin zmierzy się dziś z Elise Mertnes. W 1/8 finału Raszynianka (9. WTA) wygrała z Amerykanką Ivą Jović 6:1, 6:3. Był to 147. zwycięski mecz Świątek w turniejach WTA 1000. Więcej wygranych mają na koncie tylko Amerykanka Serena Williams – 148 oraz Białorusinka Aryna Sabalenka – 156. Belgijka (19. WTA) pokonała z kolei niespodziewanie Amerykankę Coco Gauff 6:3, 6:3. Dotychczasowy bilans pojedynków Świątek z Mertens to 2:0 dla Polki.

Była liderka światowego rankingu jest ostatnią polską tenisistką, która uczestniczy w singlowych zmaganiach w Pekinie. W 1. rundzie odpadły Katarzyna Kawa i Magda Linette, a w 2. Magdalena Fręch oraz Maja Chwalińska, która rywalizuje jeszcze w deblu.

eprasa.pl 35b7964dc6

taniec towarzyski
słodki alkohol
włókno z celulozy
handlowy pośrednik
pnącze
folia pod pieluszką
dawna taktyka walki jazdy
przód męskiej koszuli
przypisy autora, objaśnienia
pędzi na sygnale
ignorant
starogrecki instrument
gruba zasłona
Indianie z powieści Maya
wiązka chrustu
zajęczy tłuszcz
roślina z chwytnikami
praktyka w firmie
część twierdzenia
nowela Sienkiewicza
kawał
płynie przez Opole
jaź złoty
gotycka róża
szefowa potocznie
sprzęt lgi Świątek
opłata pobierana na granicy
Hector, reżyser
miasto nad Pianą
turecki gmach rządowy
kwiatowa grządka
nakrycie głowy
tytan dźwigający niebo
kloc drewna
pięknie przemawia
pantera lub żbik
rabatowy kwiat
część stolicy Węgier
bukiet z suchych kwiatów
czarny listek w talii kart
buduje gniazdo
świętuje 22 kwietnia
cudowna ... Aladyna
żytnia lub pszenna
szkolne lokum
rodzaj muzyki
broń Robin Hooda
piłka w bramce
kobiece okrycie z peleryną
wawrzyn dla czempiona
graficzny znak firmy
„piłka" do kometki
hazardowa gra w karty
pełzak z niby-nóżkami
wyspy koralowe
strój Hinduski
trunek bosmana
okrycie dla siwka
płucny zabieg
alotropowa odmiana tlenu
preparat kosmetyczny
kamień półszlachetny
ryba morska, podeszwica
duchowny w cerkwi
czule o rodzicielce
staro-grecka moneta
rywal „Ixi"
Egon, gangster
rybi tłuszcz bogaty w jod
uderza z jasnego nieba
majątek, mienie
marka Opla
pora dnia
faworyty
turecka łódka
letni kapelusz
dawny załącznik
wiśnia z Barbadosu
ustrój dawnej Rosji
szachowy pat
przyjaciel Toli
gaz o ostrej woni
rzadko zabiera głos
Nb dla chemika
ryba słodkowodna
przewozi pasażerów
wózek na budowie
pojanka, reprymenta
małżonka Warsa
zawilec w ogrodzie
trunek, alkohol
„..... Walewska"
dawna nazwa czołgu
handluje gazetami
futerał na pistolet
broń-drzewcowa
chory na dychawicę
lemur lub wyrak
twórca „Śniadania na trawie"
Anna z powieści Lwa Tołstoja
opera Bizeta
tybetański ssak
waluta Korei Południowej
ku-chenne siekierki
materiał klejony lepikiem
stolica Ghany
nocne widziadło
pokarm dla kotów
syn króla Priama
skała podobna do granitu
charakterystyka postaci
odblask pożogi
kończyna górna
wiersz miłosny
syn Posejdona i Libii
dłużnik wekslowy
powolny chód gniadego
klasztor pustelników
taniec latynoski
litera w alfabecie Morse'a
Rzym dla Włoszki
metropolia Jemenu
jaki pan, taki ...
złoty do zrobienia
roślinny motyw dekoracyjny
siała mak
łóżko dla mata
jednostka masy
oficer w wojsku tureckim
powyżej kolana
interwał muzyczny
bilet loteryjny
duży antałek
domowe „ognisko"
impreza w ambasadzie
glina morenowa
sawanna w dorzeczu Orinoko
sprzęt lekkoatletyczny
minerał, odmiana agatu
pływający znak
część spłaty kredytu
atak szału
polski herb szlachecki
tlenowy dla nurka

AUTOPROMOCJA 0310987243

Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: myśl Władysława Grzeszczyka.

SŁOWNIK: ACEROLA, AGENOR, ANKLAM, AKSAK, AZAR, LLANOS, KARAKOL, SJENIT, TILIT.

ROZWIĄZANIE: OTWARTE RĘCE SĄ PRZEWAŻNIE PUSTE.

eprasa.pl 35b7964dc6